Nr. 6. Czerwiec 1901. Rok XXI.

PRZEDŚWIT

PO ZJEŹDZIE

Chyba żaden z dotychczasowych zjazdów partyi naszej w zaborze pruskim nie budził tak wielkiego zainteresowania, jak ostatni. Rzecz to najzupełniej zrozumiała, gdyż nigdy jeszcze położenie P. P. S. zaboru pruskiego nie przedstawiało się tak poważnie, jak obecnie. Ogólna sytuacya polityczna kraju jest, co prawda, bardzo sprzyjająca wybiciu się na powierzchnię życia narodowego ruchu socyalistycznego, ale wymaga ona niezwykłego spotęgowania wszystkich sił partyjnych, działalności wielkiej i sprężystej. Tymczasem właśnie w tej, tak ważnej chwili, wrogowie P. P. S. spowodowali odebranie tej ostatniej od szeregu lat wypłacanego subsydyum i energicznie zabrali się do podkopania samego bytu polskiej organizacyi partyjnej. Już-już gotowi byli wybuchnąć niepohamowaną radością, widząc, jak P. P. S., skazana na własne jedynie siły i pomoc socyalistów polskich innych zaborów, rozpada się w gruzy i niknie...

Tymczasem pokazało się, że i w zaborze pruskim ruch nasz jest na tyle silny, że los jego nie zależy ani od subsydyów niemieckich, ani od intryg i machinacyi socyalhakatystów. Pokazało się, że partya nasza i w tym zaborze liczy już nie mało jednostek ofiarnych, przywiązanych do sztandaru P. P. S. i gotowych go bronić z poświęceniem. Wzmogła się ofiarność partyjna, ludzie, poprzednio mniej czynni, zabrali się do pracy gorliwej, a przebieg zjazdu udowodnił, że wszelkie warunki rozwoju P. P. S. w zaborze pruskim istnieją.

Umyślnie podajemy szczegółowe sprawozdanie ze zjazdu, to też nie będziemy się tu nad wynikami jego dłużej zastanawiać. Podniesiemy jedynie kilka szczegółów najdonioślejszych.

Najważniejszą uchwałą zjazdu jest, naturalnie, przeniesienie „Gazety Robotniczej“ na Śląsk. W ten sposób przenosi się do kraju i punkt ciężkości całej agitacyi partyjnej. Ruch nasz w zaborze pruskim zostaje nareszcie ukrajowiony i odtąd powinien już rozwijać się normalnie. Bardzo pocieszającym jest fakt, ujawniony na zjeździe, że prawie we wszystkich znaczniejszych ośrodkach zaboru pruskiego grunt do poważnej roboty partyjnej jest już przygotowany. Nawet w Poznaniu, gdzie stosunki od paru lat uległy zabagnieniu, obecnie ma się już ku lepszemu i, byle towarzysze miejscowi zabrali się energicznie do dzieła, odzyskamy to, cośmy utracili. Wielką otuchą napawa nas i ten nastrój, jaki cechował wszystkich delegatów zjazdu. Widać, że towarzysze przejęci są ważnością chwili, dokładnie zdają sobie sprawę z położenia i świadomi są celów ruchu.

W końcu nie sposób nie skonstatować wielce doniosłego faktu przypływu całego szeregu nowych, wypróbowanych już, bądź na emigracyi w Niemczech, bądź w zaborze rosyjskim, sił, które zapoczątkowują nowę erę naszego ruchu i w tym, tak dotychczas zacofanym i upośledzonym zaborze.

* * *

Narcszcie po długich usiłowaniach mieliśmy się zebrać na ziemi rodzinnej, w naszem prastarem Gnieźnie. I jeszcze raz przekonaliśmy się, że gdy nad losem naszym radzić chcemy, gdy chcemy wspólnie obmyślać środki walki w imię praw człowieka — wtedy na własnej naszej ziemi niema dla nas kąta. Tak, dla nas, polaków, w konstytucyjnem państwie pruskiem istnieją inne prawa, nieobjęte żadnym paragrafem — tych praw używa w stosunku do nas policya. Towarzysze z Gniezna zameldowali policyi zebranie nasze już 16 b. m. Wszyscy delegaci pewni byli do ostatniej chwili, że zmiana żadna nie nastąpi, właściciel lokalu zobowiązał się zapłacić 300 marek w razie, gdyby z jego winy umowa została zerwana Dopiero d. 25 t. m., t. j. w wilię zjazdu, policya zabroniła zebrania w zamówionym lokalu. Było to już w ostatniej chwili; wielu delegatów i gości już przedtem wyruszyło było do Gniezna. Towarzysze musieli rozwinąć całą energię, by sprawie nie dać upaść. Dzięki temu, zjazd opóźnił sie tylko o jeden dzień. Tymczasem policya nie nam, ale sobie tym razem oddała niedźwiedzią przysługę. Niedoszły zjazd w Gnieźnie stał się prawdziwą manifestacyą, urządzoną na cześć polskich socyalistów przez policyę i szpiclów. Pikelhauby w sposób inponujący a groźny zajęły stanowisko przed lokalem. A że znajduje się on właśnie w pobliżu tumu, więc powracający tłumnie z kościoła dowiadywali się ciekawie, o co chodzi i wielu z nich po raz pierwszy widziało żywych socyalistów, bez rogów i innych nadzwyczajnych dodatków. Ale „burzycielie porządku" jeszcze dotkliwiej mieli odczuć to, że w państwie pruskiem rządzi nie prawo, lecz pięść. Gdy towarzysze nasi przybyli do Gniezna i, oczekując na pociąg do Berlina, zebrali się w owym lokalu, czego im nikt, jako zwykłym gościom, nie miał prawa zabronić — policya zmusiła ich do opuszczenia lokalu A więc o konstytucyi pruskiej można dziś powiedzieć to samo, co mówiono w Królestwie za rządów Aleksandra I: „Konstytucya pod stołem, but na stole". Szpicle i policya tryumfalnie odprowadzili towarzyszów naszych na dworzec kolejowy. Pochód był istotnie uroczysty! Ludność miejscowa była poruszona do żywego tem zajściem, tembardziej, że już poprzednio prowadzono wszędzie przedzjazdową agitacyę. Z Poznania i innych miejscowości przybyli nie tylko towarzysze, ale i wielu takich, co się przekonać chcieli, jak też wyglądają i o czem radzą socyaliści. Odjeżdżającym do Berlina towarzyszom dodano dla lepszej opieki szpicla. Gdy już pociąg miał ruszać, zabrzmiał z wagonu na pożegnanie i otuchę „Czerwony Sztandar". Rzeczywiście możemy być wdzięczni policyi pruskiej, bo swojem zachowaniem się dopomogła znakomicie naszej sprawie, poruszając opinię publiczną. Niemniej owacyjnie przyjmowały władze towarzyszów naszych w przejeździe przez Poznań. Szpicle i policya stanęli pod bronią; towarzyszów naszych sygnalizowano od stacyi do stacyi, zupełnie jakby sam cesarz przejeżdżał.

Pierwszy dzień zjazdu.

Na zjeździe byli obecni: zarząd, rewizorowie kasy i 22 delegaci z ziem polskich i emigracyi. (Tu zaznaczyć musimy, że z powodu zmiany, zaszłej w ostatniej chwili w Gnieźnie, nie wszyscy delegaci na zjazd do Berlina przybyć mogli). Zjazd zagaja tow. Kaczmarek.

Pierwszym przewodniczącym zostaje tow. Berfus (Berlin), drugim tow. Wierbiński (Gniezno), sekretarzami tow. Haase (Królewska Huta) i tow. Prałat (Rixdorf). Przewodniczący wita zebranych gorącą przemową, poczem stowarzyszenie śpiewackie „Wolny duch" wykonało dwie pieśni. Towarzyszka dr. Golde wita zjazd w imieniu P. P. S. zaboru rosyjskiego i zaznacza całą ważność zadań, które zjazd ma przed sobą. Towarzysze z zaboru rosyjskiego tem żywiej interesują się sprawami P. P. S. zaboru pruskiego, że w zaborze tym wystawiono obecnie jako najważniejsze hasło: „do kraju!". Praca w myśl tego hasła musi

się wyrażać w czynach, a nie w uchwałach na papierze. Dalej zaznacza tow. G. jakich już mamy sojuszników — są nimi przedewszystkiem towarzysze polscy z innych zaborów. Solidarność trójzaborowa jest dla nas rękojmią owocnej pracy. Przemówienie swoje kończy okrzykiem na cześć P. P. S. wszystkich trzech zaborów.

Pierwszy punkt porządku dziennego zawiera sprawozdanie zarządu.

Tow. Morawski: Praca zarządu jest już znana ze sprawozdania w „Gazecie Robotniczej". Najważniejszą z czynności było utrzymanie „Gazety Robotniczej". Rozwój „Gazety" tamowało szczególniej to, że kolporterzy śląscy, tow. Dylong i Kandziora kilka miesięcy odsiadywali więzienie za swoją działalność.

Drukujemy obecnie 1.600 egzemplarzy „Gazety". Przed kilkoma miesiącami rozpowszechniono na emigracyi 11.000 numerów „Gazety", a 5.000 na Śląsku — w celach agitacyjnych. Sprowadzono 2.000 egzemplarzy „Latarni" i 600 egzemplarzy „Kalendarza Jubileuszowego". Ze Lwowa przysłano nam 300 egz wydawnictwa majowego. Wydaliśmy 32.000 egz. odezw ogólno-agitacyjnych i przeciw cłom zbożowym. Tegoroczne wydawnictwo majowe wyszło w 3.000 egz. Z Krakowa nadesłano nam 1.400 egz. mowy tow. Daszyńskiego. Wysyłano agitatorów do Poznania, Bremy, Hamburga, Halli, Magdeburga itd. Obecnie agituje na Górnym Śląsku tow. Haase, a w Poznaniu tow. Karwik. Dalej opowiada tow. Morawski zajścia gnieźnieńskie z powodu zjazdu.

Kasyer partyjny tow. Thiel składa sprawozdanie kasowe i zaznacza, że od początku roku ofiarność systematycznie wzrastała.

Ze sprawozdania kasowego za czas od 1 kwietnia 1900 do 30 kwietnia b. r., podajemy następujące cyfry: składki dobrowolne przyniosły 4.163,28 marek, abonament „Gazety Robotniczej" 3.451,36 m. Rozchód natomiast tak się przedstawia: Niedobór z kwietnia 1900 roku 90,31 m., koszta wydawnictwa „Gazety Robotniczej" 6.281,5 m., broszury i pisma agitacyjne 447,70 m., rodzinom socyalistów, odsiadujących więzienie, wypłacono 201,95 m., na agitacyę wypłacono 208,90 m., korespondencya 42,50 m., portorya 78 59 m., różne wydatki 35,90 m. Ogólny rozchód wynosił 7.393,90 m., tak, że pozostała nadwyżka w kwocie 128,49 m. Dotychczasowe bilansy wykazywały zazwyczaj niedobór.

Kontrolerzy tow. Gościński i Weychta proszą o wotum zaufania dla kasyera i zwracają się do towarzyszy z prośbą, by pieniądze nadsyłano do kasyera. a nie do ekspedycyi. Wywiązuje się dyskusya nad prowadzeniem ksiąg.

Tow. Igliński (Hamburg) zarzuca zarządowi nieostrożność w wynajęciu sali w Gnieźnie.

Tow. Karwik (Poznań): Sprawozdanie zarządu nie mogło nas zadowolić. Zarząd nie wypowiedział swego poglądu na najważniejsze sprawy partyjne. Nie możemy zarządowi puścić płazem tego wszystkiego, co się nam nie podoba. Wiemy, że np. w kraju zarząd nie spełnił swego zadania i dopuścił się błędów. Jest to po części wina zarządu, że partya nasza w Poznaniu jest tak słaba. Towarzysze poznańscy byli zupełnie opuszczeni przez zarząd i dzięki temu stali się naszymi wrogami. Zarząd nie starał się o to, aby zdolniejsi ludzie z emigracyi powracali w Poznańskie — nie namawiano do tego nikogo. Zarzuty polskich socyalistów poznańskich, należących dziś do organizacyi niemieckiej, skierowane przeciwko nieczynności zarządu w Poznaniu, uważa za zupełnie uzasadnione.

Tow. Golde broni urządzenia zjazdu w Gnieźnie. Podnosi znaczenie agitacyjne tej całej sprawy, oraz zasługi zarządu, bo tylko ci, co więcej i lepiej pracowali, mają prawo do krytyki.

Tow. Biniszkiewicz (Berlin): Tow. Karwik nie podał faktów, a robił tylko ogólne zarzuty. Jesteśmy robotnikami, musimy pracować na utrzymanie

naszych rodzin, nie możemy przenosić się do Poznania lub na Śląsk, skądby wkrótce trzeba było wracać dla braku zajęcia. Wyjazd do kraju na agitacyę utrudniał zawsze brak pieniędzy.

Tow. Merkowski (Berlin): Nie zarząd, ale towarzysze poznańscy za mało pracowali w Poznaniu. Jeżeli zestawimy cyfry sum, wydanych na agitacyę w Poznaniu i w innych miejscowościach, to przekonamy się, że Poznań kosztował najwięcej. Ale od czasu osiedlenia się tam Kasprzaka znajdowały się zawsze jednostki, których celem było podkopanie dobrych stosunków towarzyszy poznańskich z zarządem. Agitacya towarzyszy, należących do kartelu związkowego, znajduje poparcie moralne i materyalne w komisyi generalnej związków zawodowych i u zarządu partyi niemieckiej. Takich środków my nie posiadamy. Gdyby tow. Karwik zastanowił się był nad tem, nie czyniłby tych nieuzasadnionych zarzutów.

Tow. Haase: Dyskusya poznańska jest ważna. Starałem się poznać stosunki tamtejsze. Mamy tam dzielne jednostki, które tylko dlatego przyłączyły się do organizacyi niemieckiej, że tam widziały pracę poważną i energiczną. Obecnie z ramienia naszej organizacyi prowadzi w Poznaniu robotę kilku dzielniejszych towarzyszów. Tow. Karwikowi udało się zdobyć wielu nowych zwolenników. Zwolennicy kartelu poznańskiego już dziś zapatrują się inaczej na naszą partyę i podają rękę do zgody.

Obie strony są na najlepszej drodze do zaprzestania walki. Porozumienie ostateczne jest możliwem, o ile jedna strona uzna zupełną samodzielność naszej organizacyi, a z drugiej strony towarzysze nasi rozwiną energiczną działalność.

Tow. Morawski: Po przyjeździe Gogowskiego do Poznania pracowaliśmy zgodnie, dopiero wpływy Kasprzaka i Róży Luxemburg wywołały rozdwojenie.

Tow. Wierbiński: co do zgody, o której mówi tow. Haase, radzę ostrożność. Łatwo byłoby o zgodę, gdybyśmy się wyrzekli naszej samodzielności.

Gogowski powiedział do mnie, że polskiej partyi socyalistycznej, jako samodzielnej organizacyi, nie uznaje.

Tow. Biniszkiewicz: Co do zgody poznańskiej, to i ja zalecam ostrożność. Jeden z towarzyszów poznańskich powiedział do mnie: „Gdy nam potrzeba pieniędzy, piszemy do niemców, a oni nie odmawiają. Róbcie tak samo, a wyjdziecie z waszej biedy". Ja się na to nie zgadzam, aby za pieniądze zmieniać przekonania (Grzmiące oklaski).

Tow. Wierbiński stawia wniosek wyrażenia wotum zaufania zarządowi. Wniosek zostaje przyjęty przeciw trzem głosom.

Tow. Igliński (Hamburg) stawia wniosek, aby nad drugim punktem obrad (sprawozdania delegatów) przejść do porządku dziennego. Wniosek zostaje przyjęty.

Zjazd zmienia porządek dzienny i przechodzi do punktu VI-go: sprawa prasy.

Tow. Merkowski: Gazeta od dnia 1 Lipca będzie wychodziła na Górnym Śląsku, przeniesienie i byt jej są zapewnione.

Zjazd, przyjmując wniosek z Bremy, przystępuje do wyboru komisyi dla sprawy „Gazety Robotniczej". Do komisyi tej weszli: tow. Morawski, Thiel, Haase i Golde.

Do punktu trzeciego (nasze stanowisko wobec związków zawodowych) referuje tow. Morawski: każdy robotnik-socyalista obwiązkowo musi należeć do organizacyi zawodowych. Związki centralne są silniejsze; związki lokalne budzą sympatyę robotników, gdyż łączą one sprawy socyalizmu ze sprawami czysto ekonomicznemi. Na emigracyi ta kwestya ma pewne znaczenie. Musimy zostawić towarzyszom wolny wybór. W kraju lokalnych związków niema; należy więc wstępować do istniejących na miejscu centralnych, z dążeniem do łączenia się w grupy samodzielne i tworzenia filii polskich.

Tow. Biniszkiewicz jest zwolennikiem związków lokalnych i zachęca do zakładania ich na wzór berlińskich.

Tow. Wierbiński zachęca do wstępowania do wszelkich organizacyi zawodowych, w pierwszej linii do centralnych.

Tow. Haase wyświetla znaczenie związków zawodowych, jako organizacyi, która ma wielkie zadanie do spełnienia. Silne związki zawodowe mogą się uciekać do ostrzejszych środków protestu. Rozumie się, że w związkach teraźniejszych jest zabagnienie, ale musimy się starać energicznie o przeprowadzenie agitacyi socyalistycznej w związkach. Związki centralne liczą 600.000 członków, lokalne zaś mają tylko kilkadziesiąt. Im większą przeprowadzimy centralizacyę, tem więcej zdobędziemy ustępstw od kapitalistów i rządu. Ja uznaję zasadnicze związki centralne, nie mogę jednak potępiać towarzysza wstępującego do lokalnego związku z powodu zabagnienia centralnych. Towarzysze na Górnym Śląsku i w Poznaniu powinni tłumnie wstępować do związków miejscowych, jakkolwiek postępowanie komisyi generalnej i Wintera ze wszech miar zasługuje na potępienie. Bezczelność przedstawicieli związkowych wobec P. P. S. jest karygodna. A jednak towarzysze nasi tylko wtedy będą mogli wpłynąć na zmianę taktyki związków zawodowych, jeśli będą ich członkami i postarają się ukrócić zakusy despotyczne fałszywych proroków.

Tow. Kunce (Lipsk) jest zwolennikiem związków lokalnych i największy nacisk kładzie na samowiedzę polityczną.

Tow. Igliński (Hamburg) zgadza się z tow. Wierbińskim i Haasem i wyraża nadzieję, że na przyszłość będzie tylko jedna organizacya socyalistyczna, zarazem fachowa i polityczna.

Tow. Biniszkiewicz: Właśnie związki lokalne chcą mieć partyę i związek razem. Organizacye centralne są już dziś neutralnemi. W związkach zawodowych jest mało ludzi, dążących do socyalizmu. Siła centralnych związków zawodowych nie może nas nakłonić do ich popierania. Kapitalizm niemiecko-pruski jest jeszcze silniejszy. Najważniejsze sprawy robotnicze rozstrzyga parlament, a nie związki zawodowe.

Tow. Karwik: Związkowcy są po większej części socyalistami i stanowią najsilniejszą podporę niemieckiej partyi socyalno-demokratycznej. Połączenie z lokalistami nie przyniosłoby nam najmniejszej korzyści. Ruch neutralny musi zniknąć z czasem. Jeżeli na Śląsku i w Poznańskiem będziemy tłumnie do związków wstępowali, wpływ nasz będzie korzystnym. Niech związki zawodowe dbają o żołądki — ideały socyalistyczne przetrwają w partyach politycznych.

Tow. Morawski jeszcze raz uzasadnia swoje zapatrywania, wypowiedziane w referacie.

Przyjęto jednogłośnie wnioski następujące:

„Zjazd zechce uchwalić, iżby każdy polak, mieniący się być socyalistą, należał do organizacyi politycznej i zawodowej.

Zjazd zechce uchwalić, aby, gdzie u nas w kraju lub na emigracyi polsko-socyalistycznych organizacyi niema, — takowe zakładano".

Na tem zakończono obrady pierwszego dnia.

Drugi dzień zjazdu.

Tow. Drożdż — Załęska Hołda, tow. Dylong — Król. Huta i Kandziora — Zaborze składają sprawozdania z G. Śląska. Ze sprawozdania wynika, że towarzysze na Śląsku muszą staczać walki nietylko z kapitałem i policyą, ale i z klerem, który wszędzie zwalcza ruch robotniczy. Kler nadużywa przedewszystkiem swego zaufania u kobiet. Dlatego mówi tow-a Drożdż — musimy mieć na G. Śląsku towarzyszkę, którahy się stale zajmowała agitacya między kobietami. Tow. Dylong skarży się na ciągłe przeszkody, stawiane kolporterom

„Gazety Rob.“ przez policyę. Tow. Kandziora opowiada, że księża wypytują się, kto „Gaz. Rob.“ czyta i odradzają abonowanie jej.

Tow. Kowalewski (Trzemeszno). Młodzież nasza wstydzi się jeszcze być socyalistyczną, gdyż i u nas księża przedstawiają socyalizm w kłamliwem świetle. Jest na to tylko jedna rada: ułatwić ludziom dostęp do oświaty. Biblioteczka założona przezemnie przydała nam się — ludzie czytają chętnie.

Tow. Witajewski (Poznań). Przyjazd tow. Biniszkiewicza przyczynił się do tego, że towarzysze nasi zaczęli się skupiać. Od tej chwili ilość abonentów „G. R.“ wzrasta stale. Przeszkodą dla rozwoju naszej sprawy jest pijaństwo wśród robotników poznańskich.

Inny delegat z Trzemeszna kładzie nacisk na agitacyę uświadamiającą w mniejszych kółkach. W tym celu musielibyśmy mieć w każdej miejscowości wyrobionych towarzyszy. Zarząd powinien dbać o utrzymywanie z nami stosunków i dawanie wskazówek. Mówca zarzuca zarządowi, że tego dotychczas nie robił i prosi usilnie wszystkich agitatorów, aby nie występowali przeciwko religii. Towarzysze powinni pamiętać, że kler i religia — to dwie zupełnie różne rzeczy. Agitacya między chłopami nie napotyka żadnych trudności i przeciwnie może liczyć na wielkie powodzenie.

Tow. Dębiński (Inowrocław). Mamy znaczną liczbę oddanych towarzyszy i musimy stanowczo założyć towarzystwo socyalistyczne. Filii związków zawodowych niema tam, więc niema żadnej obrony dla wyzyskiwanych towarzyszy.

Tow. Merkowski odpiera zarzuty towarzyszy z kraju, wyjaśniając, że brak środków materyalnych nie pozwalał na większą działalność agitacyjną ze strony zarządu.

Tow. Wierbiński (Gniezno). Socyalizm zrobił w Gnieźnie ogromne postępy, lud sprzyja nam coraz bardziej.

W sprawie zakazu zjazdu przez policyę, mówca podaje wniosek następujący, który jednogłośnie przyjęto:

„Zjazd uchwala, aby sprawę zakazu VI zjazdu P. P. S. zaboru pruskiego w Gnieźnie oddać w ręce frakcyi socyalno-demokratycznej parlamentu niemieckiego dla zainterpelowania rządu“.

W dyskusyi przemawiają jeszcze tow. Kunce (Lipsk), Berfus, Kowalewski, Gościński, Gulińska, Wlekliński i Biniszkiewicz.

Komisya, obrana do rozpatrzenia kwestyi Gazety, ukończyła swą pracę i zdaje z niej sprawę przed zjazdem.

Tow. Morawski: Słyszeliśmy wczoraj zarzuty przeciwko zarządowi, a przecież przy wydawnictwie „Gaz. Rob.“ pracował tylko jeden człowiek, który musiał wszystko załatwiać i dlatego trudno mu było wszystkich zadowolić. Teraz mamy więcej ludzi i spodziewamy się, że będzie lepiej. Od 1-go lipca „Gaz. Rob.“ będzie wychodzić w Katowicach. Pieniądze są i jest nadzieja, że całą robotę popchnie się naprzód. Oprócz mnie jedzie na Śląsk towarzyszka Golde, Haase jest już na miejscu i razem będziemy pracowali. Ale pieniądze, któremi rozporządzamy, nie są to żadne kapitały, dlatego musimy dalej zbierać składki na agitacyę (huczne okłaski).

Tow. Wierbiński uzasadnia dwa wnioski z Gniezna, mające na celu powiększenie funduszu na wydawnictwa.

Tow. Morawski: nadmieniam, że redaktorką „Gaz. Rob.“ będzie towarzyszka Golde.

Tow. Wierbiński (Gniezno). Nie przedstawiono nam rzeczy, jak należy, nie możemy się na nic zgodzić, gdyż nie wiemy, na jakich warunkach „Gaz. Rob.“ będzie przeniesiona i czy wydawnictwo na tem nie ucierpi. Co do redaktorstwa, dążę do zmiany, ale muszę zaznaczyć, że nie możemy oddawać sprawy w nowe ręce. Ludzi, którzy nam się zasłużyli, nie możemy kopnąć. Usunięcie

Morawskiego byłoby rzeczą niegodziwą. Siły inteligentne niech pomagają, a nie sięgają po stanowiska przewodniczące. Zanim sobie zaufanie zdobędą, musimy widzieć ich pracę. Niech nowicyusze podporządkowują się, a steru niech nie zagarniają. Niech Morawski obejmie kierownictwo na Górnym Śląsku, a na współpracowników chętnie się zgodzimy.

Tow. Biniszkiewicz. Słowa tow. Wierbińskiego zadowolniły mię najzupełniej. Komisya zrobiła niepraktycznie, wybierając na referenta Morawskiego, który się w swem przemówieniu krępował. Żądamy dalszych informacyi od innych członków komisyi.

Tow. Haase (Królewska Huta). Wszelkie uchwały komisyi zapadły jednogłośnie. Sprawozdanie towarzysza Morawskiego było niewystarczające, gdyż nie powiedział o warunkach, na jakich się Gazeta przenosi, dlatego nie dziwię się towarzyszom, że sprawa przedstawia się im niejasno. Przedewszystkiem muszę zaznaczyć, że przeniesienie Gazety na G. Śląsk jest zupełnie zapewnione. Zawarliśmy z pewnym drukarzem w Katowicach kontrakt na dłuższy czas. Komisya kontrakt zbadała i uznała, że warunki są dla nas dogodne. Finanse nasze są takie, że płatnego redaktora utrzymać nie możemy. Oprócz tego, przekonaliśmy się, że jedna osoba nie może podołać całej robocie i dlatego robota cała na tem cierpi. Dlatego uchwaliliśmy, że tow. Morawski ma się zajmować ekspedycyą Gazety i założyć małą księgarnię na G. Śląsku. Musieliśmy więc szukać odpowiedniej siły do pracy redakcyjnej i z przyjemnością możemy powiedzieć towarzyszom, że znaleźliśmy w tow. Golde odpowiednią osobę. Tow. Golde będzie redagowała Gaz. Rob. *bezpłatnie.* Nikt nam zarzutu lekkomyślności zrobić nie może. Towarzysze nasi z zaboru rosyjskiego znają tow. Golde od wielu lat i polecają ją nam jako osobę odpowiednią, doświadczoną i w partyi zasłużoną. Nie mamy więc do czynienia z żadnym nowicyuszem, a z towarzyszką, będącą już od wielu lat w naszym ruchu, która już niejedną ofiarę dla partyi poniosła. Wobec tego wszystkie zarzuty tow. Wierbińskiego są zupełnie nieuzasadnione. Tow. Morawskiego nikt odsuwać nie chciał i nie chce, przeciwnie, cieszymy się wszyscy, że Morawski na Śląsk wyjedzie. Sądzę, że po tem wyjaśnieniu towarzysze zgodzą się jednogłośnie na nasz projekt.

Tow. Igliński (Hamburg). Trudno było namówić tow. Morawskiego do przeniesienia się na Śląsk; cieszymy się, że objął ekspedycyę.

Tow. Karwik (Poznań). Sprawa jeszcze nie jest wyjaśniona; nie wiemy, kto ma być nakładcą; uniknęlibyśmy dyskusyi, gdyby Morawski dał porządne sprawozdanie.

Do biura zostaje zgłoszony wniosek, aby tow. Morawski był nakładcą i ekspedyentem „Gaz. Rob.“, a tow. Golde redaktorką.

Tow. Merkowski. Jestem zadowolony ze sprawozdaniu Morawskiego i Haasego. Przemówienie tow. Wierbińskiego było skutkiem nieporozumienia Redaktora, nakładcę i ekspedyenta niech mianuje zarząd, a nie Zjazd.

Tow. Thiel. Komisya zgodziła się stanowczo, aby redaktorką była tow. Golde, a nakładcą wybrała komisya mnie, ale ja wolałem Morawskiego. Sądziłem, że on, znając lepiej sprawy Gazety, lepiej wam wszystko opowie.

Do biura zgłoszony zostaje wniosek, aby redaktora i ekspedyenta mianował zarząd.

Tow. Golde: Widzę, że i dopełnienia, poczynione przez innych mówców do sprawozdania Morawskiego, nie zadowoliły jeszcze towarzyszy, którzy słusznie uważają sprawę pisma partyjnego za najważniejszą. W innym razie wystarczyłoby może zwyczajne zapewnienie komisyi: przenosimy Gazetę i wszystko jest w porządku. Dziś sprawozdanie co do Gazety, która od kilku miesięcy porusza umysły towarzyszy, musi dać odpowiedzi dokładne, aby każdy mógł własny swój sąd wydać, czy nie popełniliśmy głupstwa, przenosząc się do kraju.

W ciągu 4 miesięcy zajmuję się tą sprawą, więc mogę przedstawić wam rzecz szczegółowiej. Nam idzie nie tylko o utrzymanie Gazety, lecz też o agitacyę partyjną. Żadne pismo nie może się utrzymać samo, jeżeli nie ma dziesiątków tysięcy abonentów. Te wszystkie gadzinowe i konserwatywne pisma, które niby to stoją o własnych siłach, istnieją właściwie tylko dlatego, że sprzedają się temu, kto im więcej zapłaci. Pismo uczciwe nie może się długo utrzymać, jeżeli nie ma za sobą zwolenników, którzy je wspomagają. I Gaz. Rob. potrzebuje takiego poparcia. Pomoc taką dadzą nam towarzysze. W roku ubiegłym wpłynęło za gazetę około 3.000 marek. Od kwietnia stoimy o własnej sile, a jednak mamy pewną nadwyżkę w kasie. Widzimy więc, że Gaz. Rob. ma przyjaciół, ma zwolenników, którzy jej upaść nie dadzą. Koszt wydawnictwa wynosić będzie około 5.000 mr. A więc na agitacyę pozostaje w najlepszym razie 2.000 mr. rocznie. To stanowczo zamało. My musimy odzywać się nietylko do naszych czytelników, ale do mas, musimy mieć wpływ na masy, na opinię publiczną w kraju; musimy wydawać odezwy i broszurki, musimy urządzać wiece. Dziś starczyło tylko na Gazetę i widzimy, że towarzysze nie są zadowoleni z takiego stanu rzeczy. A teraz inne wydatki: musimy się przenieść, musimy uzupełnić drukarnię. Na to mamy już zapewnione pieniądze. Kto chce się dowiedzieć o szczegółach, niech się zwróci do komisyi, na publicznem zebraniu mówić o tem niewarto. Dziś całą pracę wykonywa jeden człowiek, który wszystko musi robić. Znam tę sprawę od 8 lat. Tow. Morawskiego podziwiać należy, że sobie sam dawał radę. Za to możemy śmiało wyrazić mu nasze uznanie. Ale my musimy się rozwijać, musimy posunąć się naprzód. Trzeba nam więcej ludzi i większej pracy. Słowa tow. Wierbińskiego są słuszne i sympatyczne. Dowodzą one jego przywiązania do sprawy socyalistycznej i do Gaz. Rob. Nie powinniśmy oddawać swego pisma w ręce człowieka nieznanego. Co do mnie, skromne zachowanie się zyskałoby mi może większą sympatyę ogółu towarzyszy. Chwila jest jednak zbyt poważna, abyśmy się bawili w fałszywy wstyd. Nie mogę wam powiedzieć: będę redagowała gazetę dobrze — to zależy od moich zdolności i warunków. Mogę tylko zapewnić was, że będę pracowała uczciwie. Nie polecam siebie, zgłaszam się do was, bo widzę, że takiego mniej-więcej człowieka potrzebujecie, bo zawód mój zapewnia mi zupełną niezależność. Nie dla redaktorstwa jadę na Śląsk. Czy mnie wybierzecie, czy nie — pojadę na Śląsk i będę tam pracowała. (Huczne długotrwałe oklaski).

Po zamknięciu dyskusyi obrady przerwano na 1 godzinę.

Posiedzenie II (popołudniowe).

Początek o godz. 2-ej. Wniosek: VI zjazd mianuje redaktorką Gaz. Rob. towarzyszkę Golde, a wydawcą i ekspedytorem, tow. Morawskiego — przyjęty *jednogłośnie.*

Jednocześnie postanowiono, aby na przyszłość redaktora i nakładcę mianował zarząd.

Następnie Zjazd uchwalił wydanie kalendarza agitacyjnego; zbieranie przedpłaty ma się rozpocząć niezwłocznie. Do punktu: P. P. S. a kwestya narodowa referuje tow. Haase, który w dłuższem przemówieniu uzasadnia następującą rezolucyę, przyjętą jednogłośnie przy hucznych oklaskach:

„Zważywszy: 1) że klasa robotnicza jest bezpośrednio zainteresowana w pomyślnym rozwoju kulturalnym kraju i najwięcej odczuwa ucisk narodowościowy rządu zaborczego; 2) że polskie stronnictwa burżuazyjne nie mogą stanowić skutecznej opozycyi przeciwko prądom germanizacyjnym, gdyż zajmują stanowisko klasowe i nie rozumieją żywotnych interesów polskiego ludu pracującego 3) że ucisk narodowości utrudnia walkę ekonomiczną i polityczną proletaryatu — Zjazd uznaje, że P. P. S. musi walczyć z dążeniami germanizacyjnemi rządu

pruskiego i żywiołów konserwatywnych. P. P. S. zaboru pruskiego prowadzi nadal energiczną walkę w obronie zagrożonych praw ludu polskiego za pomocą robotniczej organizacyi klasowej. Zjazd śle towarzyszom z zaboru austryackiego i rosyjskiege braterskie pozdrowienie i załącza wyrazy podziwu dla bohaterskiej walki, jaką staczają nasi towarzysze z uciskiem i despotyzmem carskim.

P. P. S zaboru pruskiego żąda dla ludu polskiego w zaborze pruskim zupełnego samorządu z obowiązkowym językiem polskim, a solidaryzując się z uchwałami zjazdów dotychczasowych, oświadcza, że świadoma polska klasa robotnicza zawsze dążyć będzie do wolnej, zjednoczonej i niepodległej ojczyzny".

Do punktu 5-go porządku dziennego: „Omówienie i ustanowienie wyraźnego postulatu co do stosunku organizacyi partyjnej socyalistów polskich do partyi socyalistycznej niemieckiej" referuje tow. Gulińska.

Tow. Gulińska w obszernym swym referacie wypowiedziała, co następuje: Nie ulega wątpliwości, że stosunki nasze z towarzyszami niemieckimi nie są takie, jakie być powinny. Z idei socyalizmu wypływa zgodność interesów proletaryatu całego świata i jeżeli zatem w stosunki między dwiema organizacyami socyalistycznemi wkrada się niezgoda, to jest albo nieporozumienie albo dowód, że sama zasada idei socyalistycznej została skrzywiona. Zatarg między nami a towarzyszami niemieckimi da się ostatecznie sprowadzić do nieuznawania przez nich lub też nieliczenie się z samodzielnością naszej organizacyi partyjnej. Tow. niemieccy przyznają nam tylko językową odrębność, uznawanie której przez nich nie rozwiązuje bynajmniej kwestyi ucisku narodowościowego dla interesów polskiego proletaryatu. Tu mówić możemy z jednej strony o wrogich wystąpieniach przeciwko nam jednostek i grup, z drugiej o stanowisku samej partyi niemieckiej. Na dowód, jakie stanowisko zajął oficyalnie zarząd partyi niemieckiej wobec P. P. S. zaboru pruskiego wkrótce po jej ukonstytuowaniu się, tow. G. odczytała artykuł z „Vorwärts"u z roku 1893, jak również powołała się na oficyalne sprawozdanie ze Zjazdu N. P. soc. demokratycznej z tegoż roku, stwierdzające i uzasadniające naszą samodzielność.

Następnie przypomniała referentka wszystkie wybryki jednostek i grup, a więc zarówno wniosek wrocławski D-ra Wintera, jak postawienie w Poznaniu kandydatury Kasprzaka, osobistości wykluczonej z naszej organizacyi, zarówno artykuły „Volkswachtu" wrocławskiego, jak i charakter odezw Wintera, w których tłómaczy ślązakom, że pisze dla nich po polsku, ponieważ *obecnie* nie rozumieją dobrze po niemiecku. Napiętnowawszy te fakty i objawy, jako niezgodne z zasadami socyalistycznej sprawiedliwości międzynarodowej, wyraziła głęboki żal, że partya niemiecka na podstawie tendencyjnie fałszywych informacyi wrogich nam jednostek, zarzucających całej P. P. S. wszystkich trzech zaborów tendencye nacyonalistyczne, udzielił a w kilku wypadkach milczącej lub wyraźnej aprobaty dla wystąpień, zaprzeczających naszej samodzielności i prawa stanowienia o sobie. Nasz postulat zatem jest następujący: zachowujemy zupełną naszą samodzielność jako organizacya proletaryatu polskiego w zaborze pruskim, porozumiewając się z partyą niemiecką w tych razach, kiedy interesy wspólne tego wymagają.

Jednogłośnie przyjęto następującą rezolucyę:

„VI Zjazd P. P. S. zaboru pruskiego, potępiając zachowanie się jednostek i grup towarzyszy niemieckich oraz niektórych pism partyjnych, jak „Vorwärts" wrocławska „Volkswacht" i inne, systematycznie występujących wrogo przeciwko naszej organizacyi i agitacyi, wyraża głębokie ubolewanie z powodu, że Niemiecka Partya Socyalnodemokratyczna, dając posłuch rzuconym na nas oszczerstwom, zeszła w stosunku do nas ze stanowiska, jakie zajmowała w roku 1893".

„VI Zjazd P. P. S. zaboru pruskiego spodziewa się, że Niemiecka Partya Socyalnodemokratyczna na najbliższym swoim zjeździe wyjaśni to nieporozumie-

nie i określi stosunek swój do P. P. S. w myśl uchwał międzynarodowych zjazdów socyalistycznych, przyznających każdej narodowości prawo stanowienia o swoim losie.“

Dalej uchwalono również jednomyślnie następującą rezolucyę:

„Zjazd wyraża ubolewanie z powodu fałszywych informacyi o ruchu socyalistycznym w zaborze rosyjskim, zjawiających się od czasu do czasu w „Vorwärts“ie i innych niemieckich pismach partyjnych, a dyktowanych przez jednostki wrogie P. P. S.“

W dalszym ciągu przyjęto jednomyślnie wnioski Zarządu do punktu 5, a mianowicie:

1. „Zważywszy, że dotychczasowe doświadczenie nie dowiodło bynajmniej, by odrębność organizacyjna Polskiej Partyi Socyalistycznej od Niemieckiej Partyi Socyalnodemokratycznej, uchwalona na zjeździe berlińskim w r. 1893, była szkodliwą dla interesów polskiej ludności pracującej i rozwoju ruchu socyalistycznego w zaborze pruskim; że, przeciwnie, celowa i skuteczna działalność, zmierzająca ku wyzwoleniu ludności polskiej z więzów wyzysku materyalnego i ucisku politycznego oraz narodowego, w których ona się teraz znajduje, możliwa jest tylko pod warunkiem, by Polska Partya Socyalistyczna pozostała nadal samodzielną i niekrępowaną w swym rozwoju organizacyą proletaryatu polskiego; Zjazd uchwala, że dotychczasowa odrębność organizacyjna Polskiej Partyi Socyalistycznej zaboru pruskiego od Niemieckiej Partyi Socyalnodemokratycznej powinna być i nadal zachowana, w tych granicach, jakie jej zakreślił Zjazd z r. 1893.

2. Zważywszy, że zarówno cele ostateczne, jak i interesy proletaryatu świata całego są jednakie; że zmiana nieznośnych warunków politycznych państwa niemieckiego i zdobycie lepszych warunków pracy leży zarówno w interesie niemieckiego, jak i polskiego ludu pracującego, że skuteczna działalność w tym kierunku możliwa jest tylko przy łącznem i solidarnem działaniu Polskiej Partyi Socyalistycznej i Niemieckiej Partyi Socyalnodemokratycznej; Zjazd uchwala, iż Zarząd Polskiej Partyi Socyalistycznej powinien, jak dotychczas, działać w porozumieniu z Zarządem Niemieckiej Partyi Socyalnodemokratycznej we wszystkich kwestyach, tyczących się polityki ogólnopaństwowej.

3. Zważywszy, że towarzysze niemieccy, wysłani jako agitatorzy do prowincyi polskich, nawet gdy są ożywieni najlepszemi chęciami, nie mogą w swej działalności osiągnąć poważnych wyników, jeżeli nie znają dokładnie warunków społecznych, potrzeb, a przedewszystkiem języka ludności polskiej, że swemi wypowiedzeniami budzą oni nieraz nieufność, wywołując wśród ludności polskiej przypuszczenie, że cała Niemiecka Partya Socyalnodemokratyczna nastrojona jest germanizatorsko i hakatystycznie i tem tylko opóźniają zwycięstwo idei socyalistyczn; Zjazd protestuje przeciwko posyłaniu do prowincyi polskich przez niemieckie organizacye robotnicze agitatorów, nie władających nawet językiem polskim i wzywa Zarządy tych organizacyi, by w przyszłości nie działały na ziemiach polskich bez porozumienia z Zarządem Polskiej Partyi Socyalistycznej.“

Zarazem przyjęto następujący wniosek towarzyszy z Britzu:

„VI Zjazd Polskiej Partyi Socyalistycznej w zaborze pruskim odpiera z energią wszelkie zapory, stawiane przez ludzi złej woli rozwojowi naszemu, oraz potępia wrogie zamachy, wymierzone przeciw P. P. S.“

Dalej Zjazd uchwala następujący wniosek:

„Na Zjazdy prowincyonalne Niemieckiej Partyi Socyalnodemokratycznej, odbywające się w prowincyach polskich, wysyłają miejscowe komisye agitacyjne w porozumieniu z Zarządem P. P. S. delegatów, nie korzystających z prawa głosowania.“

Następnie obradowano nad sprawą kandydatów przy wyborach do parlamentu w okręgach polskich. Towarzysze z Bremy stawiają wniosek następujący:

„Zjazd zechce uchwalić, aby w okręgach wyborczych przeważnie polskich obowiązkowo stawiani byli jako kandydaci na posłów do parlamentu członkowie P. P. S. oraz zobowiązać Zarząd, by tenże zastosował się do niniejszej uchwały". Jednocześnie do biura zostaje zgłoszony wniosek, podpisany przez tow: Golde, Gulińską, Haasego, Karwika i Prałata — wniosek brzmi:

„Zjazd poleca towarzyszom, by w okręgach wyborczych przeważnie polskich uznawali tylko kandydatury socyalistów polskich, postawione w porozumieniu, z miejscowymi członkami P. P. S."

Nad tymi wnioskami rozwinęła się nadzwyczaj ożywiona dyskusya. Zwolennicy wniosku z Bremy twierdzili, że popieranie kandydatów, nie należących do naszej partyi, sprzeciwia się zasadom organizacyi i samodzielności naszej; wniosek drugi uważali oni za elastyczny; w ten sposób moglibyśmy popierać różnych niepożądanych kandydatów od ludowców demokratycznych z jednej strony aż do wrogich ruchowi naszemu jednostek, należących do obozu socyalistycznego. Strona przeciwna dowodziła, że warunki pracy naszej w kraju nie pozwalają na takie stawianie kwestyi; powinniśmy się liczyć z każdym uczciwym polskim socyalistą, chociażby on nie godził się na wszystkie punkty naszego programu; zastrzedz sobie powinniśmy, że przy stawianiu kandydatury zdanie naszych towarzyszy miejscowych bezwarunkowo musi być uwzględnione; rozumie się, że o popieraniu kandydatów nie-socyalistycznych żadnej mowy być nie może. W głosowaniu otrzymuje wniosek bremeński znaczną większość. W związku z powyższą dyskusyą został przyjęty wniosek poznański, domagający się stawiania, o ile możności, kandydatów, zamieszkujących w odnośnym okręgu. Z kolei przystąpiono do obrad nad ustawą organizacyjną, którą ostatecznie przyjęto.

Na wniosek towarzyszy z Poznania Zjazd uchwalił wydanie kart legitymacyjnych partyjnych dla towarzyszy, nie mogących się organizować w towarzystwa polityczne.

Zjazd poleca zarządowi partyjnemu rewizyę programu P. P. S. zaboru pruskiego. Nowe wnioski i poprawki powinny być ogłoszone w Gaz. Rob. na 3 miesiące przed VII Zjazdem partyjnym.

W końcu przystąpiono do wyboru Zarządu i Komisyi kontrolującej. Postawione były dwa wnioski: jeden żądał, aby Zarząd znajdował się w Berlinie, a Komisya kontrolująca tam, gdzie będzie wychodziła Gaz. Rob., t. j. na Śląsku, drugi wniosek domagał się, aby siedzibą Zarządu był Śląsk. Pierwszy wniosek został przyjęty 14-oma głosami przeciw 12.

Do Zarządu wybrani zostali towarzysze: Thiel (27 gł.), Merkowski (24 gł.), Berfus (22 gł.), Biniszkiewicz (21 gł.), Gościński (20 gł. po wyborach ściślejszych pomiędzy nim a tow. Wleklińskim).

W skład Komisyi kontrolującej weszli: tow. Kandziora (Zaborze), tow. Dylong (Król. Huta), towarzyszka Drożdż (Załęska Hołda).

Zamknęły Zjazd śpiewy Kółka śpiewackiego „Wolny duch" oraz przemówienie przewodniczącego, tow. Berfusa, który w ten sposób zakończył: „Słyszeliśmy tu słowa pieśni: „w walce myśmy nie ugięci!" Zjazd obecny przekonał nas o tem, pomimo przeszkód odbyliśmy narady, pomimo zaprzeczania nam samodzielności, zdobywamy się na krok tak stanowczy jak przeniesienie Gazety do kraju. Zawsze przewodniczyłem na Zjazdach naszej partyi, ale żaden nie zadowolił mię tak, jak dzisiejszy. Kończę okrzykiem:

Niech żyje P. P. S.!
Niech żyje Socyalizm Międzynarodowy
Niech żyje wolny polski lud.!"

W WAŻNEJ SPRAWIE

IV.

W przededniu ostatecznego upadku Polski, w dobie sejmu czteroletniego, ci z narodu, co w ogólnem zbutwieniu społeczeństwa naszego 18-go wieku zdołali przecież zachować zdrowie moralne, przerażeni widokiem grożącej zagłady niepodległości, wyrwani boleśnie z leniwych marzeń o wolności szlacheckiej, strzeżonej przez dawną chwałę a obecną bezsilność polskiego oręża, podjęli dla ratunku ojczyzny społeczną jej reformę. Fakt pierwszego podziału rozwiał bezmyślne złudzenia, jakoby sąsiedzi tem pilniej niepodległość Polski szanować musieli, że ona, nie mając wojska, nikogo krzywdzić nie może, a lwa z pod Wiednia, Chocima, Kircholmu, w Rzeczypospolitej utajonego, budzić się nie odważą. Rosya, Prusy, Austrya zabrały większą część ziem polskich, Polska straciła swój spichlerz — województwa ruskie, swoją sól — Wieliczkę, straciła wolny dostęp do morza Baltyckiego. I oddała to wszystko dobrowolnie, bez walki, bez protestu niemal. Więc wyrywa się Staszicowi krzyk rozpaczny, że „zginęła pełna najcelniejszych polaków, a stan obrony narodu, stan jego rycerstwa, nie tylko przy obronie polaków krwi nie przelał, lecz nawet szabli nie dobył“. Trzeba Polsce wojska, trzeba skarbu. A skarbu i wojska nie da szlachta, zbutwiała, na ruble, na gęste talary pruskie zapatrzona. By naród stał się znów potężnym i poważnym, aby mógł mieć przyjaciół, nie opiekunów, aby szlachta polska, nie chcąc, nie mogąc, czyli nie umiejąc bronić kraju, nie była w tej ohydnej potrzebie okupywania sobie pokoju ustępowaniem prowincyi, miast, jak to od wieków czyni — trzeba „zwiększyć liczbę obywateli swobodnych i wolnych“. „Nie uratujesz się konstytucyą cząstkową, czyli, że tak rzekę, połataną. Ale uratujesz się konstytucyą zupełnie nową i cały naród polski obejmującą. Jest to epoka, gdzie Polska zupełnej podpaść odmianie powinna“.

Staszic kocha ideał wolności, równości, własności. To są trzy, wedle niego, niezłomne konsekwencye praw natury. Staszic jest „najprzywiązańszym stronnikiem narodu“ i dlatego domaga się „konstytucyi zupełnie nowej“, coby na wolności włościan, równości stanów i zabezpieczeniu każdemu własności płodów jego pracy wsparta, tę moc narodowi dała, której szlachta sama dać mu nie może. Kwestya społeczna związała się była dlań, jak i dla Kołłątaja i całego stronnictwa reformy, w nierozerwalną logiczną i uczuciową całość z kwestyą reformy społecznej. A łącznikiem, co je tak związał, jest oczywistość, że łatanie Polski od zguby nie uchroni, że zbawić ją może tylko samodzielny czyn całego ludu polskiego, w pierwszym rzędzie ludu wiejskiego, że dopiero, gdy te milionowe rzesze, wciąż jedynie posłuszne, poza pług i skibę, może sercem, lecz nigdy myślą nie wybiegające, sprawy Polski w swe ręce ujmą — wolność Polski zapewniona będzie.

Od tej chwili przeszło z górą lat sto dziesięć. Lecz stan nasz obecnie jest ten sam. Zadanie, które tak jasno przed oczyma stronnictwa reformy stanęło, nie rozwiązaliśmy dotychczas. Lud nie stał się jeszcze pełnoprawnym członkiem narodu. Cóż z tego, że szlachta niema już dziś formalnych stanowczych przywilejów, że pod względem ucisku narodowościowego, bezprawności politycznej wszystkie stany zostały przez najazd zrównane — gdy wielkie masy ludu wiejskiego są po dziś dzień biernym tylko elementem kulturalnego wogóle, a w szczególności politycznego życia, przyznając klasom społecznie uprzywilejowanym monopol wszelkiej myśli politycznej. A przecież klasy te Polski zbawić nie są w stanie, wykazała to dowodnie historya wszystkich na-

szych powstań. Dopiero, gdy lud stanie się samodzielną siłą, będzie wolność Polski możliwa.

Reformy społeczne, ekonomiczne, praca kulturalna, socyalizacya i demokratyzacya społeczeństwa — wszystko to wymaga nasamprzód niepodległości Polski. Pozytywna praca dla urzeczywistnienia ideałów społecznej sprawiedliwości jest niemożliwa bez osiągnięcia wprzódy niepodległości politycznej. Wywalczyć zaś niepodległość może tylko samodzielna rewolucyjna siła ludu. Nie w naszej jest dziś już mocy, jak w epoce sejmu czteroletniego, dać w prawodawstwie masom ludowym udział na równi z innymi stanami i tem konstytucyę szlachecką w narodową zmienić. W naszej wszakżeż mocy jest wyzwolić myśl polityczną ludu z pod hegemonii klas posiadających i lud ten uczynić jeśli nie samodzielnym czynnikiem prawodawstwa politycznego i społecznego, to samodzielną siłą rewolucyjnych dążeń, które stanowią przecież jedyną treść naszego życia politycznego. Lecz krytyczna myśl rewolucyjna ludu wtedy się tylko staje samodzielną, gdy skruszy istniejącą hierarchię społeczną, gdy zaprzeczy świętości i konieczności panującym przywilejom, bo wiara w konieczność hierarchii społecznej oznacza jednocześnie wiarę w autorytet kulturalny i polityczny klas społecznie uprzywilejowanych. Jedynie ideał nowej sprawiedliwości społecznej — rodzi samodzielną polityczną myśl rewolucyjną.

Więc ideał narodowej niepodległości politycznej i ideał sprawiedliwości społecznej, więc rewolucyjne narodowe i rewolucyjne społeczne dążenia stanowią nierozerwalną logiczną i psychologiczną całość. I jak w r. 1790, tak i przez cały ciąg ubiegłego wieku, tak i dziś łatania nie pomogą. A niestety dotychczas wciąż tylko łatano. Łatało Księstwo Warszawskie i Królestwo, nie mogąc się na obowiązkowe oczynszowanie zdecydować. Łatała rewolucya 1831 r. przyrzekając, a nie dając oczynszowania, łatali czerwoni z przed 1863 roku i z powstania, sądząc, że uwłaszczenie dopiero w chwili powstania pociągnie lud masami do szeregów postańczych i że dobrowolne rekrutowanie włościan zastąpi w całości pospolite ich ruszenie, łata i dziś narodowa demokracya, wystrzegając się pilnie walki klasowej, werbując lud propagandą narodową dla rewolucyi, a nie mogąc się zdobyć na zdyskredytowanie w umysłach ludu autorytetu klas uprzywilejowanych i wiary w prawdziwość ich przywilejów.

Nie brakło zapewne pojedyńczych głosów, co domagały się radykalnego postawienia kwestyi. Ludzie w rodzaju Staszica lub Towarzystwo demokratyczne — rozumieli dobrze konieczność wytworzenia samodzielnej siły politycznej ludu. Lecz pierwsi nie widzieli innego sposobu — jak odwoływanie się do patryotyzmu szlachty i głos ich wymowny nie znalazł oddźwięku, a Towarzystwo demokratyczne, na emigracyi wyrosłe i żyjące, bezpośrednio na lud oddziaływać nie było w stanie, wpływało jedynie na szlachtę i inteligencyę mieszczańską w kraju i tam naturalnie pełnego owocu wydać nie mogło.

Dziś po raz pierwszy od chwili upadku mamy siłę rewolucyjną, zdolną naprawdę w czyn wprowadzić ową łączność, więcej nawet, jednolitość społecznych i narodowych dążeń rewolucyjnych — bo też dziś po raz pierwszy mamy w kraju samodzielną partyę nieuprzywilejowanej klasy narodu. Towarzystwo demokratyczne było partyą nie jenerałów, nie pułkowników, nie posłów na sejm, nie redaktorów, ministrów, profesorów, jeno żołnierzy, co wyszli z kraju na tułactwo, było partyą tego ludu polskiego, co się znalazł na wychodźtwie przez zdradę szlachty i jej ministrów, jenerałów, posłów, — partyą przytem samodzielną, która nie wahała się wypowiedzieć walki wszelkim historycznie wyrobionym autorytetom społecznym i politycznym. Lecz gdy T. D. P. było partyą ludu na wychodźtwie, P. P. S. jest partyą nieuprzywilejowane klasy robotniczej w kraju.

Nie objęła ona jeszcze całego ludu polskiego. Dotychczas, co do składu swego, jest ona dopiero partyą ludu roboczego miejskiego. Lecz skupia ona nietylko znacznie większą i społecznie o wiele ważniejszą część ludu polskiego, niż T. D. P., ale znajduje się jeszcze w bezpośrednim stosunku z całym ludem polskim. T. D. P. wbrew swemu programowi szczerze demokratycznemu i społecznemu, zmuszone oddaleniem swem od kraju działać na masy ludowe przez pośrednictwo klas uprzywilejowanych, od 1846 r.. roku rzezi galicyjskiej, schodzi powoli, dla pozyskania sobie inteligencyi i szlachty, ze swego nieprzejednanego stanowiska i w 1864 r. nie różni się już niczem de facto od Zjednoczenia Lelewelowskiego, jest szlachecką demokracyą, kochającą lud, lecz obawiającą się jego samodzielności. Dzisiejszą natomiast P. P. S., która z zastosowaniem jeno do zmienionych warunków społeczno-gospodarczych kraju, zaniku pańszczyzny, a powstaniu kapitalizmu, służy tym samym ideałom bezwzględnej sprawiedliwości społecznej, zniesienia wszelkich gospodarczych i prawnych przywilejów, zupełnej emancypacyi klas ludowych i nieprzejednanego patryotyzmu — nic nie zmusza do jakichkolwiek ustępstw, bo działalność jej jest bezpośrednia.

Więc nie zmusza jej nic do przystosowywania w czemkolwiekbądź swego programu do idei kursujących poglądów warstw innych, czy to włościaństwa, czy rzemiosła, do chwilowego chociażby tylko zatajania właściwych swych ideałów już to społecznych, już to rewolucyjno-narodowych, ani tem mniej do ograniczenia swej działalności na jedną jakąś klasę ludu. Wręcz przeciwnie, doświadczenie całowiekowej naszej historyi ostrzega nas wymownie przed wszelką rezygnacyą, przed wszelką dyplomacyą wewnętrzną czy zewnętrzną, wszelką połowicznością, łataniną.

Indukcya historyczna potwierdza w zupełności dedukcyę psychologiczno-społeczną. Jedna i druga mówią nam wyraźnie, że zadaniem naszem jest dać nową zupełnie konstytucyę moralną narodowi, zatem nie jednej tylko klasie proletaryatu miejskiego, lecz całemu narodowi, i nie werbować jeno dla poszczególnych, może w danej chwili najpilniejszych punktów programu zwolenników i sympatye w innych warstwach narodu, lecz pracować nad uczynieniem naszego ideału ideałem całego narodu

Wiem, że istnieją klasy, że warstwy, posiadające przywilej kapitału, z przywileju tego dobrowolnie nie zrezygnują, że bezsensem byłoby szerzyć wśród nich propagandę społeczną i rewolucyjną. Gdy jednak to ich przywiązanie do przywilejów staje w sprzeczności z odrodzeniem narodu i kazało im wciąż sprawę niepodległości zdradzać, a i w przyszłości zdradę nakaże — więc nie są one organem, jeno pasorzytem naszego ciała narodowego. W imię właśnie zjednoczenia, zbratania całego narodu należy walkę klasową przeciwko nim prowadzić i nadal. My jesteśmy narodem, my solidarności narodowej żądamy. I dla tego wszelki przywilej, jako sprzeczny z solidarnością narodową zwalczamy. To nie frazes retoryczny, nie agitacyjny wybieg, jak powiedzą zwolennicy wyłączności klasowej z jednej, zacierania różnic klasowych z drugiej strony. To fakt — bo solidarni mogą być jeno równi z równymi, wolni z wolnymi. Po za tem możliwe tylko posłuszeństwo.

Wiem, że interesy włościaństwa, rzemiosła i proletaryatu nie są identyczne, a ich dążenia bezpośrednie, ich tradycyjne ideały, ich światopoglądy nieraz nawet sprzeczne, że więc rzemieślnik przywiązany jest do swego warsztatu, do swej indywidualnej pracy, gdy robotnik fabryczny chętnieby same fabryki widział, bo wykonywanie prawodawstwa społecznego, specyalnie opieki nad pracą, łatwiejszem jest w fabrykach, niż w warsztatach, bo organizacye zawodowe prędzej szerzą się wśród zcentralizowanych fabrycznych robotników, niż czeladzi rzemieślnicze że bankrutujący majsterek gorszym jeszcze od kapita-

listy jest wrogiem wzrostu cen pracy, a już szczególnie skrócenia dnia roboczego, że jest on też przeciwnikiem wolności przemysłu, że włościanin jest zakamieniałym nieprzyjacielem centralistycznego kolektywizmu, specyalnie upaństwowienia ziemi, która to idea znów nader wiele wśród proletaryatu miejskiego znajduje sympatyi. Lecz przecież nie jesteśmy ani sektą ani partyą wyłącznych interesów poszczególnej klasy, ani tem mniej demagogicznem, schlebiającem przesądom mas, stronnictwem. Jeśli niejeden robotnik życzyć sobie może zaniku wszelkiej drobnej produkcyi, to przeciwko temu również stanowczo musimy występować, jak przeciwko nienawiści całkiem nieuświadomionych mas roboczych do maszyn. Bo w całej dziedzinie produkcyi dla rynku lokalnego, dla zaspokojenia potrzeb bezpośrednich, drobna produkcya jest produkcyjniejszą, a wielka oznacza tandetę, mimo pozornej taniości, o wiele de facto droższą. Tak samo jeśli drobny bankrutujący majsterek sroży się na ograniczenie dnia roboczego, będziemy mu tłómaczyć, że najpierwszą podstawą jego zwycięstwa w walce z kapitalistyczną tandetą jest większy właśnie dobrobyt klasy robotniczej, że tandeta jest dlań straszna tam tylko, gdzie robotnik nie w stanie jest liczyć się z dobrocią towaru, biorąc jedynie jego taniość pod uwagę, że w Szwajcaryi, Francyi, Bawaryi, prowincyach Nadreńskich rzemiosło wzrasta, a w Prusach, na Śląsku, w Austryi upada. O ile zaś rzemieślnik w zakresie produkcyi półfabrykantów pracuje, to oczywista rady dlań zazwyczaj nie ma. Tak zaś, czy inaczej, istotny interes jego wymaga nie walki z proletaryatem, lecz przeciwnie na gruncie solidarności z nim łączenia się samemu w związki współdziałania gospodarczego: kasy kredytowe, stowarzyszenia zakupowe i magazynowe, stojące w możliwie ścisłym związku z ogólnemi stowarzyszeniami konsumcyjnemi. I w ten też sposób musimy, mimo odruchowej w tym kierunku tendencyi proletaryatu fabrycznego, występować przeciwko zbytniemu upraszczaniu idei przyszłego ustroju. Kraj cały nie sposób w jedną wielką fabrykę zamienić, już znaczna część pracy przemysłowej wedle stałych szablonów prowadzić się korzystnie nie da, a rolnictwo zgoła ścisłe szablony wyklucza. Różnice gleby, zmiany codzienne pogody zmuszają w zakresie jego do indywidualnej pracy. I kiedyż to socyalizm był jednoznacznym z centralistycznym komunizmem? Z całej masy szkół i kierunków socyalistycznych jedynie komuniści niemieccy, a raczej bodaj pruscy, w państwie wszechogarniającej tresury wojskowej wyrośli, zrobili centralistyczny komunizm niewzruszonym swym dogmatem. Dziś zaś, gdy wogóle uznaliśmy bezpłodność tworzenia detalicznych planów przyszłego ustroju, a natomiast widzimy jedyny realny sens w pracy nad stopniową socyalizacyą i demokratyzacyą narodu, nad szerzeniem i pogłębianiem w świadomości ludu ideału sprawiedliwości społecznej i współdziałania ekonomicznego, nad kulturalnym postępem tego ludu i całego narodu, wiodącym do osiągnięcia powyższego ideału, nad coraz pełniejszą emancypacyą warstw społecznie przez kapitalizm wyzyskiwanych — dziś tem mniej miałoby sensu ogłoszenie za dogmat socyalizmu upaństwowienie wszelkiej produkcyi, ziemi, fabryk i maszyn. Równie dobrze mogą one być własnością gminy, stowarzyszeń współdzielczych, nawet jednostek, byleby w tym ostatnim wypadku kapitalistyczne ich użycie było uniemożliwione, a współdziałanie gospodarcze jednostek koniecznem. Nie chodzi zaś włościaninowi o pierwsze, ani też drugiego się nie obawia.

Wiem wreszcie, że lud wiejski nie jest jednolitą masą, że mamy w nim właścicieli kilkudziesięciu-morgowych, drobnych kapitalistów, spekulantów rolą i lichwiarzy, a obok nich liczne rzesze rolników, co żyją z pracy własnej i rodziny swej na kilku lub kilkunastu morgach, a jeszcze liczniejsze — proletaryatu wiejskiego, nic nie posiadającego, i chałupników, zagrodników, choć 2, 3 morgi mających, to przecież jednak czerpiących utrzymanie przedewszystkiem

z zarobku na folwarkach. Stąd wszakżeż ten tylko wniosek wypływa, że pewna część ludności do stanu chłopskiego zaliczana i oświatą, sposobem życia, kulturą domową niczem się od ogółu włościan nieróżniąca, jest już ekonomicznie uprzywilejowaną klasą kapitalistyczną, że 30 lub 60 morgowy rolnik, mimo, że jest chłopem z codziennego trybu życia, nie należy do ludu, jeno do warstw wyzyskujących. Między zaś robotnikiem rolnym, a włościaninem, choćby ten trzymał parobka lub służącą, sprzeczności interesów niema. Toć faktem est, że płaca zarobkowa u włościanina większa jest, niż we dworze i że parobek włościanina żyje identycznie tem samem życiem, co rodzina gospodarza, że gdy lepiej się urodzi, gdy krowy lepszy udój dają itd., i on lepiej się odżywia. Włościanin, który nie dla *zysku* z własności ziemskiej, lecz dla *dochodu* z pracy swej na roli pracuje, patrzy na robotnika swego, jak na pomocnika, a nie ex-niewolnika, na pracę jego jak na produkcyjną usługę, a nie jak na towar i na ogół wynagradza ją ekwiwalentem zwiększonego przez nią czystego dochodu gospodarstwa. Toć można dowiedzieć się od włościanina, wiele mu danego roku po odtrąceniu na zasiew, opłatę podatków, koszta narzędzi itd., ziarn w czystym dochodzie zostało, wiele miał dochodu czystego z koni, krów, ewentualnie nierogacizny i drobiu, lecz nie usłyszy się odeń przenigdy, jaki procent mu gospodarstwo dało. Przytem każdy włościanin, choćby mu jego własność dawała całkowite utrzymanie i pochłaniała cały jego czas, przynajmniej młodszych synów lub córki w służbę oddaje, na roboty do folwarków, Niemiec lub fabryki posyła i sam furmankami zarabia, jest więc w lepszym wynagradzaniu pracy przez kapitał bezpośrednio zainteresowany.

Mimo rozmaitości interesów włościaństwa, rzemiosła i proletaryatu, interesy społeczno-gospodarcze tych warstw nie są bynajmniej sprzeczne, ani nawet różne. Żadna z nich nie otrzymuje w dzisiejszym ustroju pełnego ekwiwalentu swej produkcyjnej funkcyi, każda jest wyzyskiwana przez kapitał na rynku handlowym, którego jedynem dziś prawem wolna konkurencya, wszystkie one są jednakowo zainteresowane w reformie społeczeństwa na zasadzie współdziałania gospodarczego i sprawiedliwego podziału bogactw wedle stopy produkcyjnej usługi każdej jednostki. I jedynie z powodu różnicy form wyzysku kapitalistycznego, to bezpośredniego, to pośredniego, odruchowe ich tendencye społeczne różnią się. Różnica ta wszakżeż jakościowo identyczna jest z tą, która się przejawia w dążeniach proletaryatu różnorodnych fachów. Ilościowo jest ona tylko większą między włościaninem a robotnikiem, miejskim niż między górnikiem a drukarzem. Więc może trudniej nieco wytłomaczyć włościaninowi świadomość solidarności interesów społecznych z proletaryuszem fabrycznym, lecz de facto solidarność ta nie mniej istnieje, niż wspólność interesów drukarza i górnika.

Dążenie do stania się partyą całego ludu polskiego nietylko w ideale naszym, lecz i realnym składem naszych szeregów, bynajmniej nie wymaga ani koncesyi z ideałów społecznych i rewolucyjnych, ani zacierania różnic klasowych. Wręcz przeciwnie — wszelka dyplomacya wewnętrzna na wzór uprawianej przez narodową demokracyę, uniemożliwiłaby nam właśnie stanie się istotną partyą ludu. Przeważne bowiem masy tego ostatniego, zwerbowane jedynie dla poszczególnych naszych haseł, każdej chwili gotowe byłyby od sprawy rewolucyi odstąpić dla innych, niemniej sympatycznych im haseł poszczególnych. A nie łudźmy się, i kontrrewolucya nasza i najazd mają ich cały zapas na chwilę decydującą. Lojalizm, serwilistyczna ugoda szlachty nie powstrzyma carskich demokratów chociażby od obietnic nowego nadziału. Szlachta, mimo swej nieruchliwości wobec zwiększającego się rewolucyjnego wrzenia wśród włościan, nie omieszka rozwinąć energicznej pracy kulturalnej, do spółki z rządem i klerem — urządzać rolnicze syndykaty włościańskie, kółka

rolnicze, — rozwinąć walki przeciwko drobnym pośrednikom żydowskim, a wbrew naczelnikom powiatów, czynnym swym udziałem w życiu gminnem organizować protesty przeciwko nadużyciom władz niższych. Nieuświadomione, a rozbudzone tylko z dzisiejszej apatyi masy chłopskie każdy z tych środków od rewolucyi odciągnąć może, a ogół ich — musi. Natomiast świadomy, samodzielny, do całkowitej emancypacyi społecznej i politycznej dążący ruch ludu wiejskiego, nową tylko otuchą natchnie widok tych koncesyi, zdradzających obawę rządu i klas posiadających.

Tak więc ze wszech miar niezbędnem się staje takież polityczne i społeczne uświadomienie ludu wiejskiego, jakiem się już dziś proletaryat miejski a w części i rzemiosło odznacza.

Organiczna praca nasza w niewielkiej jeszcze tylko części została dokonana. Dużo lat, dużo wysiłków i ofiar poświęcić jej jeszcze przyjdzie. Lecz pierwszy, najważniejszy krok już zrobiony. Najenergiczniejsza, najpostępowsza część ludu jest już świadomą rewolucyjną siłą. Dziś nie inteligencya lud ma uświadamiać, nie pewna najbliżej inteligencyi zawodowej stojąca warstwa ludu proletaryat przemysłowy — w sobie się konsolidować, tradycyjny swój rewolucyonizm uświadamiać sobie, lecz lud *roboczy miejski staje wobec zadania rozszerzenia świadomości społecznej i politycznej w masach ludu wiejskiego, jako najpilniejszej potrzeby swej samodzielnej rewolucyjnej polityki*. A lud miejski więcej ma bodaj łączności z bracią swą na wsi, niż inteligencya zawodowa z nim miała. *Praca organiczna społeczeństwa naszego bynajmniej jeszcze zakończoną nie jest.* Gdy wszakżeż w najpierwszej swej dobie polegała na wewnętrznej duchowej konsolidacyi samej inteligencyi zawodowej, tak iż praca wśród ludu służyła raczej samokształceniu się obywatelskiemu i rewolucyjnemu u tej inteligencyi, a od końca dziesiątego dziesięciolecia po dziś dzień była już wewnętrzną duchową konsolidacyą proletaryatu miejskiego, ze strony zaś inteligencyi rewolucyjnej organizowaniem warstw innych — *to dziś wchodzimy w okres czynnej organicznej pracy proletaryatu, organizowania przezeń narodu, a wewnętrznego konsolidowania się ludu wiejskiego.* Proletaryat powinien sobie z tego jasno i wyraźnie zdawać sprawę.

Czyż jednak ma już dziś jakibądź sens realny kwestya powstania, gdy tak wiele jeszcze do zrobienia zostało w zakresie organicznej dopiero pracy, czyż nie czas będzie myśleć o sprawie powstania dopiero, gdy cała nasza praca organiczna będzie ukończona.

Pytanie to może by i miało jeszcze pewną racyę, gdyby wypadki od nas jedynie zależały. Lecz nie zapominajmy, że możemy być nimi zaskoczeni Musimy trzymać się zasady, że *o tyle tylko nam zewnętrzne okoliczności pomogą, o ile dość wewnętrznej siły, siły oczywista ducha — bo muskularnej nigdy nam nie brakowało — mieć będziemy dla zwalczenia najazdu.* I wszelkie wcześniejsze dobrowolne nasze wystąpienie orężne byłoby grzechem śmiertelnym. Ale bynajmniej nie jest wykluczonem, że wprzódy nim tego zechcemy, zmuszeni będziemy siłą wypadków do podniesienia sztandaru powstania. Jeśli, przypuśćmy, Rosya wskutek wojny z Japonią i Anglią, Królestwo całkiem niemal z wojska ogołoci, jak to było w czasie wojny krymskiej, a chociażby tylko tak, jak w czasie ostatniej wojny tureckiej, armię swą u nas znacznie zredukuje, to więcej niż prawdopodobnym jest wtedy u nas wybuch tych wszystkich, od lat gromadzących się, palnych elementów. Są przecież prócz nas i inne partye powstańcze w Polsce, są luzem idące rewolucyjne żywioły, które do wystąpienia Anglia czy Austrya ponad naszemi głowami zachęcić może, jest wreszcie masa coraz silniej się buntująca, a którą byle kółko uczniowskie w sposobnej chwili poruszyć potrafi. Przy istniejących warunkach policyjnych ścisła organizacya partyjna nie jest w stanie ogarnąć wszystkich tych żywiołów, które

działalność jej rewolucyonizuje. Gdy zaś okrzyk: do broni! po ziemi polskiej się rozlegnie, gdy padną pierwsze strzały z powstańczych szeregów — to żadna dyscyplina, ani karność partyjna nie przeszkodzi, by cały rewolucyjny proletaryat nie rzucił się w ogień walki.

Oczywista musimy się o to starać, by powstanie nie wybuchło, zanim lud cały będzie dostatecznie uświadomiony — lecz musimy być i na odwrotną ewentualność przygotowani. Boć nie mamy prawa, zaskoczeni wypadkami, umyć rąk jak Piłat i odpowiedzialność na innych zwalić, im też ster źle rozpoczętego powstania pozostawiając. Wręcz przeciwnie, na rewolucyjnej sile proletaryatu tem większy by w podobnym wypadku ciążył obowiązek jakobińską już wprost dyktaturą zmusić naród do energicznej walki, gdy znaczne jeszcze warstwy ludu na samodzielny by się czyn rewolucyjny zdobyć nie umiały.

Lecz i niezależnie już od tej konieczności rachowania się z możliwymi wypadkami, co przed czasem nas zaskoczyć mogą, — nie sposób przecież, przygotowując siły narodu do walki, uświadamiając lud o konieczności jej i zadaniach, jakie mu w niej spełnić przyjdzie, o walce tej nic nie mówić. „Przegląd Wszechpolski“ może doradzać swym stronnikom tymczasem milczenie o powstaniu, i słuszna. Przecież N. D. werbuje ludowe masy tylko dla politycznych celów inteligencyi. Więc lepiej nie wyjawiać im zawczasu całego rozmiaru tych celów, by słabych i nieufnych nie odstraszyć, zbyt gorących do nadmiaru zapału nie pchnąć nieostrożnem słowem; dopiero posiadłszy już zaufanie mas, przyzwyczaiwszy je do swej komendy, zorganizowawszy je, czas będzie im cel całej tej roboty wyjawić, i zyska się jeszcze przy tem to, że wróg zewnętrzny i wewnętrzny, nieuprzedzony zawczasu o niebezpieczeństwie, słabszy opór będzie stawił. Tak wszyscy wielcy kondotyerowie postępowali — od Aleksandra Macedońskiego, Napoleona, Bismarka począwszy, na bohaterach Jules Verne'a i Coopera kończąc. Ale gdy zadaniem naszem jest nie werbować lud, jeno samodzielną rewolucyjną jego siłę stworzyć, nie możemy w uświadamiającej naszej pracy pominąć milczeniem pytania, w jaki sposób możliwem jest zdobycie praw politycznych i społecznych, do emancypacyi ludu wiodących, szerząc ideał wolności obywatelskiej i niepodległości narodowej, nie możemy nie mówić jednocześnie, jak wolność ta i niepodległość wywalczone być mają, ażali manifestacyami i protestami pokojowemi, czy też terorem, czy powstaniem. Boć nie ma głupszej i niebezpieczniejszej rzeczy, jak „pedagogia“ w uświadamianiu ludu, dawanie mu prawdy w małych dawkach, przykrawywanie ideałów i programów do chwilowego nastroju nieuświadomionych jeszcze mas, by je następnie rozszerzać. Albo się lud uświadamia, albo się go tumani. Lecz uświadamiać tumaniąc nie sposób. Nie jest on przecież dzieckiem, ani płochym a niedoświadczonym młodzieńcem.

(Dokończenie w następnym Nr.)

Mazur.

PRZECIW ZAKONOM

IV.

Jeśli chcemy zrozumieć, dlaczego w dyskusyi nad nowem prawem francuskiem o stowarzyszeniach (p. Nr 5.) klerykali stoją na gruncie zupełnej wolności dla wszystkich, a socyaliści żądają ostrzejszych jeszcze praw wyjątkowych przeciw pewnej kategoryi — zakonom, to przedewszystkiem nie dajmy się uwieść pozorom. Miłość klerykałów dla wolności i równości jest bardzo świeżej daty;

zapłonęła ona w ich duszach dopiero wtedy, kiedy poczuli, że uprzywilejowane stanowisko stracili bezpowrotnie; przedtem bronili go zacięcie i odmawiali równości i wolności innym w myśl *Syllabusu* papieża Piusa IX, który oświadcza, że „wolność należy się tylko prawdzie (czyli — katolicyzmowi), a nigdy — błędom". Jeszcze w r. 1871-2, kiedy wszelka reakcya miała większość w republikańskiem Zgromadzeniu Narodowem, a radykaliści żądali zniesienia § 291 kod. kar. i prawa przeciw stowarzyszeniom z r. 1834, klerykali odpowiedzieli wnioskiem „swobody" dla stowarzyszeń, o ile nie byłoby ich celem naruszanie zasad moralności publicznej i *religijnej*, rodziny i własności", a natomiast — zwolnienia od wszelkiej nawet kontroli stowarzyszeń kościelnych. Nie przeszło to wówczas: rząd Thiersa wolał stary a dobry, bo wszystkim grożący, bicz reakcyjny § 291. Gdy jednak wszystkie żywioły wolnomyślne były wtedy surowo prześladowane, kongregacye i klerykali wogóle cieszyli się zupełną swobodą, zawładnęli całkowicie rządem za Mac-Mahona i o mało w r. 1877 nie uskutecznili zamachu stanu przeciw rzeczypospolitej. Dopiero kiedy zostali zwyciężeni, kiedy rząd już czysto republikański, rząd Freycineta i Ferry'ego, w r. 1879, mając świeży przykład złych zamiarów i tajemnej siły zakonów niedozwolonych przez prawo chciał im przynajmniej, za pomocą t. zw. § 7, słynnego w dziejach trzeciej rzeczypospolitej, odebrać prawo utrzymywania szkół i wychowywania młodzieży w nienawiści do rzeczypospolitej, a po odrzuceniu tego projektu przez klerykalny wówczas senat, dekretami, wydanymi na mocy dawnych praw napoleońskich i burbońskich z lat 1804, 1817 i 1825, rozwiązał i zbrojną ręką rozpędził zgromadzenia jezuitów, dominikanów i innych ogłupiaczy, — dopiero wtedy ci sami ludzie, co ośm lat, co dwa lata temu jeszcze bronili wyłączności i przywileju zakonów i prześladowali stowarzyszenia wolnomyślne, nagle zaczęli stawiać wnioski zupełnej swobody dla wszystkich: przy tej swobodzie upiekliby już w tych warunkach przedewszystkiem swoją pieczeń, zapewniliby sobie istnienie i rozwój, byłaby ona dla nich najmniejszem złem. Klechy tak zawsze: gdzie nie mogą wejść głównemi wrotami, tam się wślizną, przyczają, udadzą pokornych, aż dopóki, wzorem Tartuffe'a Molièrowskiego, nie zawładną cudzym domem i nie powiedzą do gospodarza: „Ten dom należy do mnie, wasan — za drzwi proszę". Gdyby znów kiedy chcieli mieć większość i rząd w swem ręku, zarazby dali urlop wolności, a przywrócili (sami się w chwilach szczerości do tego ideału przyznają) obowiązkową religię katolicką, publiczne ogłaszanie na drzwiach kościoła nazwisk tych, co do kościoła nie chodzą, znieśliby ślub cywilny, swobodę prasy itd. Najwybitniejszy publicysta katolicki — Veuillot powiedział przecież z całą cyniczną naiwnością: „My żądamy od was wolności — w imię waszych zasad; ale wam jej odmawiamy — w imię zasad naszych. My jesteśmy konsekwentni; bądźcież i wy konsekwentni".

Otóż na to odpowiadają radykaliści i socyaliści: nie, panowie! właśnie dlatego, że wy byliście konsekwentni aż do — inkwizycyi, to my nie chcemy być konsekwentni aż do tej głupoty, aby wam na wyciąganie waszych konsekwencyi pozwolić. Wy otwarcie powiadacie (a choćbyście nie mówili otwarcie, to dość was znamy na to, aby być o tem przekonanymi), że przy pierwszej sposobności chcecie nas zdusić; i my nie mamy się bronić, tylko z baranim spokojem patrzeć na to, jak wy stryczek kręcicie? Wolimy odebrać wam konopie i lekko związać ręce, albo, jeśli wolicie, — za drzwi. „Do tolerancyi nie mają prawa ci, co sami jej nie uprawiają".

Ale — można odpowiedzieć na to — taka doktryna mogłaby doprowadzić do odmawiania wszelkich praw wszystkim, kto nie uznaje jakiejkolwiek zasady panującego ustroju. Np. monarchiści dążą jawnie do zaprowadzenia monarchii, która niewątpliwie prześladowałaby republikanów, a jednak konstytucya republikańska nie odbiera im przecie prawa głosowania, nie unieważnia mandatów ich

reprezentantów? Socyaliści dążą do zniesienia własności prywatnej, a przecie nie zgodziliby się na to, aby na tej zasadzie *dzisiaj* nie pozwolono żadnemu z nich posiadać nic na własność, używać pieniędzy itd. Odpowiedź wydaje się słuszna — a przecie jest prostym sofizmatem; czemu? bo niema całkowitej analogii między tymi wypadkami a położeniem zakonów katolickich. Kiedy monarchiści korzystają z powszechnego prawa wyborczego, choćby przeciw temuż prawu wyborczemu, kiedy socyaliści obracają pieniędzmi, choćby w celu zniesienia ustroju pieniężnego, to robią to na zasadzie zupełnej równości (przynajmniej prawnej) ze wszystkiemi innemi stronnictwami. Kiedy zaś zakony chcą korzystać z prawa stowarzyszania się, wolności nauczania itd., to niema równości między nimi, a innemi stowarzyszeniami politycznemi; zakony są zawsze uprzywilejowane, mają znaczną przewagę prawno-państwową. Zwrócili na to uwagę posłowie: socyalista Viviani i socyalny radykalista Pelletan. Zakony wszak nie są samodzielnemi stowarzyszeniami, ale integralną częścią składową całego kościoła katolickiego; między kościołem tym zaś a rządem francuskim zachodzi stosunek *konkordatu*, to znaczy traktatu (zawartego między papieżem a cesarzem Napoleonem I), na mocy którego duchowieństwo katolickie mianowane jest przez rząd francuski, a zatwierdzane tylko przez papieża, ulega kontroli rządu (zresztą bardzo słabej i mało skutecznej), a wzamian posiada gmachy kościelne, będące własnością publiczną, otrzymuje pensye z budżetu państwowego i ma stanowisko oficyalne, zapewniające kultowi i wszelkim jego praktykom opiekę i obronę rządu. Tak np. kiedy ktoś — jak niedawno jakaś baba na Bukowinie — sprzedaje chłopom na lat trzy dyabła do usług, to prokurator wytacza mu proces o oszukiwanie ludzi, bo istnieje w kodeksie specyalny paragraf przeciw tym, co za pomocą podsuwania fikcyjnych nadziei wyłudzają pieniądze; bywa on stosowany do finansistów, do założycieli towarzystw akcyjnych w celu eksploatowania nieistniejących pokładów złota itp.; ale kiedy księża, a jeszcze bardziej zakonnicy, zbierają pieniądze za wodę cudowną w Lourdes, za bilety na podróż do nieba, za weksle na świętego Piotra lub listy polecające do Pana Jezusa itp., to uchodzi im to bezkarnie, a nawet nikt się wtrącić nie może, bo to wszystko należy do praktyk obrzędowych, których bezpieczeństwo poręcza konkordat. Wogóle, stanowisko urzędowe kościoła katolickiego zapewnia mu ogromny wpływ na umysły, szczególniej w takiej Francyi, kraju od tylu wieków przyzwyczajonym do poszanowania władzy; i z wpływu tego korzystają również zakony, jakkolwiek, podług konkordatu, nie powinny by one wcale istnieć, bo konkordat mówi tylko o duchowieństwie świeckiem a nie zakonnem. Jest to więc niepospolita arogancya i cynizm — domagać się zarazem korzystania z przywileju i korzystania z wolności i równości; albo jedno, albo drugie. Obrońcy zakonów powołują się na Stany Zjednoczone: dobrze, ale tam kościół katolicki — ani żaden inny zresztą — nie mają żadnego urzędowego stanowiska, żadnych pensyi rządowych, są sobie stowarzyszeniami wierzących, jak wszystkie inne stowarzyszenia, i żyją z ich dobrowolnych datków. Niech klerykali zgodzą się na *oddzielenie kościoła od państwa*, którego oddawna domagają się radykali i socyaliści, na zniesienie budżetu wyznań, (a przeprowadzenie tego tylko już od nich zależy), to wtedy, ale tylko wtedy, socyaliści i inni szczerzy republikanie będą mogli i im, zakonom, przyznać na równi z innymi zupełną swobodę stowarzyszania się. A ponieważ klerykali tego nie chcą, więc niech ponoszą konsekwencye stanowiska urzędowego: kontrolę rządu, zależność od jego widzimisię; trzeba nawet te konsekwencye jaknajbardziej zaostrzać, czynić dla nich jaknajnieznośniejszemi: może w ten sposób doprowadzi ich się do popierania wniosków zniesienia konkordatu i budżetu wyznań, oddzielenia kościoła od państwa.

Socyaliści niemieccy w sprawie jezuitów w odmiennem znajdują się położeniu. Kościół katolicki, pomimo całej swojej potęgi, zasadniczo przecież w Niem-

czech panującym nie jest i nie znajduje się w położeniu zupełnej równości wobec przywilejów kościoła protestanckiego; przytem zaś rząd niemiecki niema w sobie jeszcze ani cienia demokracyi, nie jest ani w najmniejszym stopniu nawet przedstawicielem i obrońcą interesów klasy robotniczej, ludu, cywilizacyi nowożytnej; na razie więc wszystko, co jest skierowane przeciw niemu, co go osłabia, jest dobre. Socyaliści tu jeszcze nie budują, nie mogą budować nowego ustroju, a tylko burzą stary. W daleko silniejszym jeszcze stopniu stosuje się to do naszych stosunków w zaborze rosyjskim. Kiedy carat prześladuje zakony a poczęści i świeckie duchowieństwo katolickie, mamy zupełne zasadnicze prawo i rewolucyjny obowiązek protestować i domagać się dla katolicyzmu traktowania na równi z prawosławjem: katolicyzm bowiem w porównaniu z prawosławjem, jego carosławnymi dogmatami, popami, czerńcami i innem paskudztwem jest w każdym razie cywilizacyą, a carat występuje przeciw niemu nie w imię postępu z pewnością, a tylko w celu sprowadzenia jeszcze większej ciemnoty i uległości ludu, w celu wzmocnienia i wzbogacenia rządu, który my zburzyć musimy. Katolicyzm pod wpływem prześladowania uszlachetnia się, a przynajmniej uszlachetniają się niektórzy katolicy, stają się opozycyjną, nawet rewolucyjną siłą, wydającą wodzów powstańczych, bohaterów, męczenników unickich i innych, czasem nawet — pomocników w naszej pracy... Ale my musimy jasno zaznaczyć, że w niepodległej Polsce, którą zbudować chcemy, jeśli katolicyzm, jak wogóle wszelka religia, uciskany ani prześladowany nie będzie, to tylko dla tego, że nie będzie ani zajmował, ani domagał się żadnego uprzywilejowanego, żadnego państwowego stanowiska, że nie będzie dążył do prześladowania myśli wolnej, a tylko na zasadach równej i swobodnej dyskusyi z nią i z innemi religiami się współubiegał, że będzie rzeczą osobistego sumienia i prywatnych stowarzyszeń. Majątki kościelne i klasztorne, o ile jeszcze istnieją, zarówno jak dawniej przez rząd skonfiskowane, przejdą z chwilą naszej rewolucyi na własność narodu, pod zarząd władz rewolucyjnych, które użyją ich albo na potrzeby rewolucyi, albo — później — na organizacyę świeckiej, narodowej, wszystkim wyznaniom wspólnej pomocy dla chorych, sierót, inwalidów pracy itp. A gdyby podczas rewolucyi i w pierwszych czasach po niej, przed utrwaleniem nowego ustroju, księża czy zakonnicy intrygowali z kontrrewolucyą, jak to dziś robią we Francyi, to z pewnością użylibyśmy przeciw nim wszelkich najenergiczniejszych środków; i towarzysze niemieccy niewątpliwie w podobnym wypadku, będąc już u steru rządu rewolucyjnego, nie zawahaliby się swych jezuitów wyprawić z powrotem — za granicę, do kozy lub ewentualnie w dalszą podróż jeszcze.

V.

Uwodzenie się pozorami, czczym dźwiękiem wyrazu „wolność", specyalnie jest szkodliwe w kwestyi szkolnej. Projekt prawa, uchwalony przez izbę deputowanych, zawiera, jak wiadomo, paragraf, odbierający członkom niedozwolonych kongregacyi wszelką możność nauczania; przeciw temu to paragrafowi wytoczyli klerykali i ich przyjaciele, t. zw. republikanie „liberalni" i „tolerancyjni" (dla katolicyzmu tylko, nie dla socyalizmu) z obozu Mélin'a — najcięższe swe działa. Jezuici, dominikanie i parę innych niedozwolonych kongregacyi utrzymują z wielkiem powodzeniem, jak już powiedzieliśmy, szkoły średnie i robią coraz większą konkurencyę gimnazyom rządowym: ten paragaf (jak wyżej wspominany „§ 7" Ferry'ego) ma na celu — że użyjemy nasuwającego się tu wyrażenia Mickiewicza — „wydarcie im młodzieży z paszczy". Socyaliści mają mu do zarzucenia tylko — jego połowiczność: burżuazyjne bowiem prawodawstwo objawia tu swoją dbałość o swobodny rozwój umysłowy burżuazyjnej tylko młodzieży, której 15.000 kształci się w szkołach jezuickich itp., ale ani myśli o wydarciu klerykalizmowi — najpierw dziewcząt nawet z klas zamożnych, a po-

wtóre — co ważniejsza jeszcze — 1.600.000 dzieci obojga płci, uczących się w szkołach elementarnych pod kierunkiem zakonników, zwanych „Braćmi doktryny chrześciańskiej“: ci bowiem stanowią kongregacyę dozwoloną, której Napoleon I. specyalnie powierzył elementarne ogłupianie dzieci ludu, zdatnych, jak wiadomo, według niego, tylko na mięso dla armat. Otóż spora część republikanów z lewicy i socyalistów domaga się wprost wprowadzenia *państwowego monopolu szkolnego* na wszystkich stopniach nauczania, i popierała wyżej wymieniony paragraf tylko jako pierwszy krok na tej drodze.

Tu więc klerykali najgoręcej protestują w imię wolności — w imię *wolności myśli*, tak jest! W imię deklaracyi praw człowieka i obywatela z r. 1789, która mówi: „Swobodna komunikacya myśli i poglądów jest najcenniejszem prawem człowieka. Każdy obywatel może swobodnie mówić, pisać, drukować“ a więc — dodają — nauczać. Państwo, rząd — arendarzem i szynkarzem oświaty, wiedzy: cóż to za ohydna, nieznośna tyrania! A prawa ojca do kierowania wychowaniem swych dzieci?!

Czekajcież — odpowiadają socyaliści*). Jakże to wy w samej rzeczy rozumiecie „wolność nauczania“? Czy czasem nie tak samo, jak wyżej pokazaną wolność stowarzyszania się? Wprowadziliście ją w r. 1850, w czasach najokropniejszej reakcyi, i jak ją motywowaliście sami? Tem, że szkoły rządowe średnie i wyższe, które jedynie miały wówczas prawo istnienia na mocy organizacyi napoleońskiej z r. 1807, „wychowują młodzież w ateizmie i nienawiści do chrześciaństwa“ (Lamennais); tem, że „jedynie kościół jest w stanie rozstrzygnąć zagadnienie doby dzisiejszej — za pomocą wiary w nagrodę pozagrobową wszczepić biednym poszanowanie dla własności“. Te ostatnie, tak wymowne słowa wypowiedziane zostały przez jednego z najgorętszych obrońców prawa z r. 1850, głowę „katolików liberalnych“ Montalemberta, który jednocześnie miał taki szacunek dla wiedzy i zamiłowania wolności, że domagał się przyznania zakonnicom i proboszczom wiejskim nietylko prawa nauczania bez żadnego przygotowania, ale i prawa leczenia, zapisywania recept etc. Czemu nie? wszak łaska boska starczy za naukę medycyny, a poco bezbożny doktor ma zarobić, kiedy następcy św. Piotra to się przyda? Szczerość zamiłowania wolności u klerykałów można jednak poznać z tego, że, ustanawiając w r. 1850 „wolność nauczania“, prawo utrzymywania średnich i wyższych szkół prywatnych, z którego, wiedzieli to dobrze, niemal wyłącznie korzystać miały zakony, — jednocześnie za jednym zamachem, rozciągnęli najdokuczliwszą kontrolę nad szkołami rządowemi, poddając nauczycieli elementarnych pod widzimisię prefektów (gubernatorów), a nie zwierzchności szkolnej, i — wprowadzając biskupów do rad szkolnych departamentalnych, dozorujących szkoły średnie! I oto macie swobodę nauczania, równouprawnienie różnych kierunków myśli!

Ale gdyby nawet chodziło o swobodę nauczania nie obłudną, nie równającą się przywilejowi katolicyzmu, a istotną, czyż zupełna swoboda byłaby w tej dziedzinie możliwą? Analogia ze swobodą prasy nie da się obronić, bo prasa zwraca się do dorosłych, a szkoła — bierze dzieci i „wykuwa im żywot cały“. Rewolucya francuska zaznaczyła tę zasadniczą różnicę; bo ta sama Konstytuanta, która ogłosiła swobodę słowa i prasy, dnia 6 sierpnia 1791 r. uchwaliła „utworzenie szkół *publicznych*, *wspólnych* dla wszystkich obywateli“. Punkt ten przeszedł od Rewolucyi francuskiej do programów wszystkich socyalistycznych partyi; P. P. S. w swym programie żąda także „bezpłatnego, *przymusowego*, *powszechnego*, całkowitego nauczania“ w przyszłej rzeczypospolitej polskiej. Cóż to jest innego, jeśli nie monopol szkolny? Nie bójmy się wyrazów, wglądnijmy

*) Por. wyborną broszurkę „L'école et l'église, par Un Universitaire“, tomik 3-ci „Bibl. Ouvrière Socialiste“, założonej przez tow. Ch. Rappaporta.

w istotę rzeczy. A istota rzeczy jest taka, że na to, aby z dusz ludzkich wykorzenić oddawna w nie wsiąkłe popędy egoistyczne i niewolnicze, a zaszczepić nowe, komunistyczne i ludziom wolnym przystojne, bez których ustrój socyalistyczny niedomagałby ciągle z powodu różnych występków, socyaliści z chwilą dojścia do władzy, i dziś już, w miarę dochodzenia do niej, muszą poddawać wszystkie dzieci, całą młodzież bez wyjątku, jednemu i temu samemu kierunkowi kształcenia instynktów i umysłu, kierunkowi, wykluczającemu zarówno wszelki przywilej osobisty lub klasowy, jak wszelkie dogmatyczne objawienia nadprzyrodzone. Nie znaczy to, aby w szkołach publicznych miał być wykładany jakiś dogmat: oprócz czysto uczuciowego „kategorycznego imperatywu“ solidarności społecznej, wzajemnego pogodzenia się interesów jednostki i ogółu, zasadą takiego socyalistycznego szkolnictwa, którą i dziś już, o ile możności, urzeczywistniać należy, może być tylko świętość wolnego badania i rozumowania, które właśnie wszelki dogmat, idealistyczny zarówno jak materyalistyczny, wyklucza, a raczej na hypotezę zamienia. Nie znaczy to także, aby wszelkie inne szkoły poza publicznemi były zakazane: przeciwnie, każdy będzie mógł — nawet zakonnicy katoliccy — zakładać szkoły, ale przedewszystkiem każdy młodzieniec, każde dziecko będzie musiało uczęszczać do odpowiedniej szkoły publicznej, a tylko dodatkowo — mogło do prywatnej; przyczem jeszcze, o ile chodzić będzie o szkoły dla dzieci do pewnego ich wieku czy stopnia rozwoju, to nad temi szkołami prywatnemi będzie musiała być rozciągnięta kontrola publiczna, aby nie wszczepiały dzieciom zasad wprost przeciwnych i wrogich szkole publicznej; tak np. o różnych dogmatach religijnych, o ile one są przedstawiane jako wrogie wolnemu badaniu i rozumowi, młodzieniec powinien się dowiadywać dopiero w takim wieku, kiedy może świadomie i dobrowolnie wybrać między nimi a — bezdogmatowością*). Argument „praw ojca“ nie ma tu żadnego znaczenia. Dawniej ojciec miał „prawo“ dziecko zabić, sprzedać, ożenić wbrew jego woli, zamknąć w więzieniu; nie tak dawno jeszcze — nie uczyć go nawet czytania i pisania; społeczeństwo odjęło mu te wszystkie prawa, może też i musi — w imię wyższego prawa swojego dobrobytu, swojej przyszłości — odjąć też ojcu prawo ogłupiania lub demoralizowania dzieci — członków społeczeństwa.

Rozumie się, że to wszystko stosuje się, że użyjemy wyrażenia Towarzystwa Demokratycznego, do „społeczności obowiązkom swoim wiernej“, do społeczeństwa bezklasowego, na równości i wolności istotnej opartego, jednem słowem — socyalistycznego. Kiedy się ma do czynienia z rządem rosyjskim, papieskim, tureckim, austryackim „apostolskim“, pruskim hakatystycznym itp., to sprawa wygląda zupełnie inaczej. Tutaj prawo ojca do kierowania wychowaniem i wykształceniem dzieci ma daleko większą wartość cywilizacyjną, niż prawo reakcyjnego państwa, którego monopolizujące zachcianki należy zwalczać wszelkiemi siłami. Stanowisko więc socyalistów w tych kwestyach — jak wogóle, powiedzielibyśmy, w kwestyach t. zw. „socyalizmu państwowego“ — określać się będzie poprostu stosunkiem państwa do socyalizmu, stopniem wpływu socyalistów na państwo. I otóż część socyalistów francuskich jest tego zdania, że państwo francuskie jest jeszcze zbyt mało w istocie swej demokratycznem i wolnościowem, aby mu można było bezpiecznie pozwolić na objęcie monopolu szkolnego; uznają, że dziś w korpusie nauczycielskim panuje bardzo dobry nastrój republikański i przyjazny dla socyalizmu, ale boją się, że w razie nastania rządu reakcyjnego, monopol oddałby mu w ręce umysły młodzieży. Na to inni odpowiadają — i zdaniem mojem, słusznie — że rząd pięści i bez monopolu prawnego potrafiłby stworzyć sobie monopol faktyczny, zamykając szkoły pry-

*) Proszę nie mieszać z — Płoszowszczyzną!

watne, a zresztą — rzeczą jest partyi postępowych nie dopuścić go już nigdy. Ostatecznie w danym wypadku nie chodziło o monopol; zamknięcie zaś szkół zakonnych, utrzymywanych przez najskrajniejszych wsteczników, a w dodatku przez ludzi, którzy wskutek celibatu częściej, niż inni, oddają się nienaturalnym chuciom i plugawią dzieci (dowodem — dziś częste procesy) — byłoby zawsze postępem. Gdyby się to wykluczenie zakonników rozciągnęło jeszcze i na szkoły elementarne, to znacznie przyśpieszyłoby chwilę, kiedy wszystkie dzieci będą się kształciły w szkołach publicznych świeckich, a więc — kiedy i dodatkowe szkoły prywatne, choćby zakonne, będą mogły istnieć bez niebezpieczeństwa dla społecznego i ideowego postępu.

VI.

Zupełnie więc słusznie, zdaniem naszem, a na zasadzie powyższego obszernego motywowania, socyaliści francuscy w parlamencie energicznie popierali projekt rządowy. Udział ich w dyskusyi był bardzo wybitny. Starali się oni zaostrzyć projekt prawa, doprowadzić go do ostatnich konsekwencyi. Zévaès stawiał wniosek zupełnego zniesienia zakonów, jak za Konstytuanty*), przyczem Fournière miał sposobność wykazać, że w Szangaju jezuici utrzymują, aby się wzbogacać, różne przemysłowe przedsiębiorstwa i między innemi — domy publiczne... Viviani, którego mowa zrobiła największe wrażenie, krytykował politykę rządową za jej połowiczność, za to, że walczy tylko z zakonami, i to nie wszystkiemi, a wierzy w republikańskie uczucia duchowieństwa świeckiego i nie chce zerwać konkordatu i oddzielić kościół od państwa, co byłoby jedynem należytem rozwiązaniem. Wykazał też, że wzrost zakonów wynika z obawy ludzi przed trudnem życiem współczesnem, przed walką o byt, a może bardziej jeszcze — przed świadomym i krytycznym wyborem między równemi ścierającemi się przekonaniami i wierzeniami; że człowiek, który, zamiast walczyć w obydwóch dziedzinach składa wota posłuszeństwa i unicestwia swą indywidualność, niższym jest moralnie; że jednak prawdziwie, trwale znieść będzie można zakony, gdy znikną społecznoekonomiczne przyczyny ich istnienia, gdy społeczeństwo zastąpi je w ich funkcyach, a przedewszystkiem — w funkcyi opiekowania się biedakami, starcami itp. W imię tej zasady socyaliści popierali też gorąco tę manifestacyjną, że tak powiemy, część projektu, w której była mowa o przeznaczeniu skonfiskowanych majątków zakonnych na robotniczą kasę emerytalną. Niestety, ta ostatnia część projektu właśnie nie została przez izbę uchwalona: umiarkowani republikanie, którzy popierali walkę z klerykalizmem, mimo nalegań rządu cofnęli się przed tym „zamachem na własność“ i wprowadzili taką poprawkę: że w razie rozwiązania kongregacyi reszta majątku, o którąby się dawni ofiarodawcy lub jej spadkobiercy nie upomnieli (p. N. 5) ma być użyta, zgodnie z wolą zapisodawców, na dobroczynność dla biednych sierot, starców, chorych itd. w warunkach i formie, w jakich byli oni wspierani przez zakon, oraz na pensye dożywotnie dla byłych członków byłego zakonu, o ile ci nie mają własnych środków do życia.

Wogóle, w ciągu dyskusyi projekt uległ znacznym zmianom, a najważniejsze i najlepsze spowodowane zostały interwencyą socyalistów (Viviani, Groussier, Gras i inni). Chodziło mianowicie o to, aby przepisy, skierowane, według

*) Odrzucony przez izbę. Część socyalistów też głosowała przeciw niemu, a to z obawy, żeby nie przyprawić o zgubę całego prawa. Klerykali bowiem mogli urządzić taki manewr: głosować za wnioskiem, co — wraz z socyalistami — zapewniało mu większość. Ale znaczna część umiarkowanych zwolenników projektu jużby nie mogła głosować za nim przy głosowaniu nad całością; klerykali wtedy też by głosowali przeciw — i projekt by upadł, a wraz z nim i ministeryum. Oto trudności akcyi parlamentarnej!

zapewnień rządu teraźniejszego, przeciw zakonom, nie mogły kiedyś, dzięki swej ogólnikowości, w rękach rządu reakcyjnego obrócić się przeciw stowarzyszeniom socyalistycznym i wogóle postępowo-opozycyjnym. Tu przedewszystkiem nie podobał się socyalistom obowiązek *deklaracyi*, włożony na każde stowarzyszenie, jako warunek istnienia; warunek taki, szczególniej konieczność podawania władzom nazwisk członków zarządu, może narażać na prześladowania, szczególniej robotników; socyaliści nie przyznają zresztą państwu prawa wtrącania swego nosa do każdego stowarzyszenia. Postawili więc poprawkę, umożebniającą istnienie stowarzyszeń *nie religijnej natury**) bez żadnego uprzedniego pozwolenia ani deklaracyi nawet, o ile tylko to stowarzyszenie nie zamierza, jako takie, posiadać najmniejszego nawet majątku, — i poprawkę tę, pomimo opozycyi Waldecka-Rousseau, w którego prawniczej głowie takie zamknięcie drzwi przed nosem państwa nie chciało się pomieścić, przeprowadzili, a to dzięki zręcznemu korzystaniu z rozgoryczenia klerykałów, którzy, wbrew swym tendencyom, głosowali za wszelką poprawką, myśląc, że zmuszą rząd do ustąpienia lub cofnięcia projektu.

Dalej chodziło o powody do rozwiązania towarzystwa przez sądy, w których liczbie były: niezgodność celu towarzystwa z dobremi obyczajami, całością terytoryum kraju, formą republikańską i — *porządkiem publicznym*. Co należało rozumieć pod „porządkiem publicznym"? czy ustrój panujący, na własności prywatnej oparty? Na zasadzie takiej interpretacyi rząd reakcyjny mógłby rozwiązać stowarzyszenia socyalistyczne. Waldeck w odpowiedzi dał interpretacyę tego pojęcia czysto prawniczą, a nie policyjną: porządek publiczny jest to, inaczej mówiąc, duch praw, owa ogólna podstawa stosunków między jednostkami, charakteryzująca nowożytne prawodawstwo, a wykluczająca wszelkie unicestwienie indywidualności, wszelką — a więc i zbiorową — umowę, polegającą na wyzuciu się wolności osobistej, na zobowiązaniu się do czegoś co nie istnieje w obiegu handlowym, raz na całe życie itp. Pewien oportunista, imieniem Perreau, który wobec tych wyjaśnień prezesa ministrów, żądał zakazania w prawie towarzystw, „prowokujących do zniesienia prawa własności", został przez samego Waldecka dowcipnie wyszydzony i ze wstydem cofnął swój wniosek. Ciekawy to objaw ewolucyi poglądów, bo w r. 1883 ten sam Waldeck, wnosząc, jako minister spraw wewnętrznych w gabinecie Ferry'ego, projekt prawa w tej samej zupełnie materyi stowarzyszeń, sam do celów niezgodnych z „porządkiem publicznym" zaliczał: opór prawom, bunt, prowokacyę do zniesienia prawa własności! Mimo to wszystko, dla uniemożliwienia w przyszłości reakcyjnej interpretacyi, te wyrazy „porządek publiczny" z odnośnego paragrafu zupełnie usunięto.

Wreszcie socyaliści protestowali mocno przeciw paragrafom, ograniczającym różnemi formalnościami stowarzyszenia francuzów z cudzoziemcami, wyrażając obawę, że w ten sposób wskrzesnie zapomniane prawo z r. 1872 przeciw Międzynarodówce. Rzeczywiście, klerykali i meliniści wściekają się z powodu założenia na ostatnim kongresie naszego sekretaryatu międzynarodowego i chcieliby pod tym pretekstem prześladować francuską partyę, jako z nim złączoną organizacyjnie. Komisya zrobiła tu socyalistom duże ustępstwo od pierwotnego krępującego brzmienia paragrafu: zamiast uprzedniego pozwolenia rady stanu lub aż parlamentu dla towarzystw, obejmujących i cudzoziemców lub zarządzanych przez cudzoziemców, zostało tylko prawo rozwiązania ich „w razie zagrażania wewnętrznemu lub zewnętrznemu bezpieczeństwu państwa" — przez rząd, a nie, jak wszystkich innych, przez sąd. Socyaliści, w słusznej obawie kaprysów rządowych, protestowali i przeciw temu wyjątkowi. Waldeck przy nim nie-

*) Ten dodatek — aby się przez tę furtkę nie prześlignęli chytrzy kazuiści zakonni.

bardzo ostatecznie obstawał; możność wytoczenia ewentualnie procesu sądowego o rozwiązanie wystarczała mu. Doniosłe znaczenie miało przytem jego oświadczenie, że prawo z r. 1878 ani razu nie było stosowane, a niniejszem prawem zostaje wyraźnie zniesione, jest przestarzałe, że międzynarodowość idei i prądów społecznych jest koniecznem, naturalnem i pożytecznem zjawiskiem naszych czasów, i że każdemu państwu musi chodzić tylko o obronę kraju przed zamachami faktycznemi natury ekonomicznej i finansowej, jak sztuczne podnoszenie cen, manewry giełdowe, kierowane z zagranicy itp. I tu coprawda nie jest wykluczona możliwość prześladowania strejków, urządzanych w porozumieniu z towarzyszami zagranicznymi — ale więcej już socyaliści nie mogli uzyskać. Prawica i centrum zemściły się i przeparły tekst komisyi. Kiedy jednak chcieli dodać specyalne zakazy przeciw towarzystwom, podburzającym do „wojny domowej“ lub „strejku powszechnego“. prezes gabinetu znów ich wykpił, stwierdził publicznie, że strejk nie jest wykroczeniem, — i zostało to odrzucone.

Przyjaciele zakonów przeparli też i dla nich jedną ważną ulgę. Pierwotny projokt głosił, że zakony, które w ciągu pół roku nie uzyskają pozwolenia parlamentu, przestają istnieć: w ten sposób samo milczenie parlamentu równało się zakazowi. To się wydało większości zbyt drakońskiem: uchwalono, że w ciągu pół roku tylko podanie o pozwolenie ma być wniesione. W ten sposób wszystkie podania będzie musiał parlament przedyskutować i rozstrzygnąć. Jak sobie z tak kolosalną pracą da radę? Czy nie dało się tu do ręki klerykałom potężnego środka obstrukcyi, bo przecie jedni i ci sami ludzie mogą wciąż nowe podania składać o zakładanie coraz pod inną nazwą nowych zakonów?

Może senat to rozpatrzy i zmieni. Trzeba bowiem na zakończenie zaznaczyć, że prawo, uchwalone prze izbę poselską, idzie dopiero teraz do senatu, który może je jeszcze w zmienionej formie odesłać izbie. Bardzo jest jednak prawdopodobnem, że przed wyborami do izby, przypadającymi na wiosnę r. 1902, projekt zostanie ostatecznie uchwalony i wejdzie w życie. Gdyby zaś, trafem jakimś, przewidywanie to zawiodło, to i tak był on już pożyteczny, bo wzbudził ogromne poruszenie umysłów przeciw odwiecznej potędze ciemnoty — katolicyzmowi.

M. Luśnia.

Rynki rosyjskie a Finlandya

Jednym z „najsolidniejszych“ i najprawowierniejszych argumentów przeciwko programowi P. P. S. był „argument“ rynków rosyjskich. Napróżno się wielokrotnie wykazywało, że argument ten nie ma ani racyi, ani nawet sensu; że jeżeli przemysł polski będzie szkodliwie konkurował z rosyjskim, to rząd będzie go szykanował i przy należeniu Polski do Rosyi, a jeśli na rynkach wschodnich będzie dość miejsca dla obydwóch, to i pomimo niepodległości Polski nie zamknie przed nim granicy ze względu na interesy skarbu i kolei żelaznych; że w każdym razie rzeczą będzie polskiego przemysłu umieć wyzyskać rozszerzony przez fakt niepodległości i poprawę ogólnego bytu rynek wewnętrzny i wyszukać sobie inne rynki zewnętrzne; że wreszcie niepodległe państwo polskie daleko skuteczniej będzie mogło bronić interesów swego przemysłu względem Rosyi i innych państw, niż w niewoli trzymana, zakneblowana prowincya. Nic to wszystko nie pomagało. Jeszcze niedawno, na jednym z wieców paryskich, pewien uczeń p. Luxemburg bajdurzył: „proletaryat jest dzieckiem burżuazyi, nie może być obojętny na rozwój przemysłu, a co się stanie, jak stracimy rynki wschodnie...“ itd. itd.

Dotychczas z obydwóch stron operowano hypotezami; ale właśnie świeżo wydane dziełko znanego ekonomisty finlandzkiego K. Palména pt. „Aperçu général du développement de l'activité industrielle en Finlande“ (Helsingfors 1900) daje nam sposobność poparcia słuszności poglądów, wypowiadanych w tej sprawie ze strony P. P. S., żyjącym, współczesnym przykładem. Ci, co mają uszy w każdym razie nie po to, aby słuchać, oczywiście i potem nie przestaną powtarzać swych lamentów nad przyszłym tragicznym losem przemysłu polskiego po utracie rynków wschodnich; ale też — nie dla nich piszemy.

A przykład Finlandyi jest doprawdy bardzo przekonywający, bo mamy tam we wszystkiem analogiczne warunki, choć naturalnie w miniaturze. Mamy przedewszystkiem kraj, należący do państwa rosyjskiego, ale nie dążący nawet wcale (przynajmniej do niedawna) do niepodległości, jaknajbardziej wiernopoddańczo i lojalnie zadawalniający się autonomią, i to taką autonomią, która może chyba nawet w programach S. D. *Królestwa Polskiego* stanowić tylko minimum autonomii, żądanej dla przyszłej autonomicznej prowincyi polskiej konstytucyjnego państwa rosyjskiego. Mamy dalej kraj, w którym przemysł rozwinął się dopiero od czasu jak kraj ten należy do Rosyi, a nawet do *pewnego stopnia* pod wpływem względnie życzliwej polityki Aleksandra II (dawniejsza polityka celna, nadanie m. Tammerforsowi prawa sprowadzania maszyn i materyałów surowych bez opłacania ceł, zniesienie zakazu zakładania tartaków parowych i ograniczenia ich produkcyi etc.), — polityki, która była zresztą tylko niezupełnem jeszcze naprawieniem całkiem niezasłużonej a ciężkiej szkody, poniesionej przez Finlandyę dzięki samemu faktowi nominalnej choćby przynależności państwowej do Rosyi: bo podczas wojny krymskiej angielska flota zniszczyła na morzu Bałtyckiem całą handlową flotę finlandzką — jako rosyjską. Wreszcie w kraju tym cały prawie rozwój przemysłu w najważniejszych jego gałęziach: żelaznej, szklanej, tkackiej, a przedewszystkiem papierowej i drzewnej, opartych na naturalnem bogactwie leśnem i naturalnej sile ruchowej potokach, obliczony był na *wywóz do Rosyi*.

I cóż się dzieje? Oto naraz na wiernych poddanych, nie uprawiających żadnych „marzeń“, których zbrodnią jest tylko przywiązanie do skromnej autonomii i skuteczna, ale cicha i spokojna praca „organiczna“ nad oświatą i dobrobytem ogółu, spada widoczne, tendencyjne, bezwzględne prześladowanie ekonomiczne. W r. 1885/6 ustanowione, w r. 1897 poprawione jeszcze zostały dla wywozu towarów finlandzkich do Rosyi cła bardzo wysokie, niektóre wprost z charakterem prohibicyjnym; a żeby ten charakter jeszcze bardziej uwydatnić, dla pewnych produktów oznaczono prócz tego *maximum*, którego wywóz roczny przekraczać nie może. Tak mianowicie: dla żelaza lanego ustanowiono w r. 1885 maximum 400.000 pudów; na żelazo w sztabach nałożono w r. 1886 cło 15 kop. od puda, podwyższone w r. 1897 do 20 kop.; wywóz maszyn do Rosyi, ograniczona do 2.129 ton, obciążono w r. 1886 cłem 20 kop. od puda, w r. 1897 podniesiono cło to do 40 kop.; wyroby fajansowe płacą 30 kop. cła od puda i nie mogą przekraczać 491 tonn*) wywozu; butelki płacą 5 kop. od puda od r. 1897; tkaniny wytworniejsze od r. 1897 płacą 3 ruble od puda, zamiast dawniejszych 75 kop., i ulegają maksymalnemu ograniczeniu do 50.000 pudów; tkaniny lniane, choć wyrabiane z lnu przeważnie rosyjskiego, płacą na granicy carstwa 25 kop. od puda i ulegają także powyższemu maximum; tkaniny wełniane wcale nie mogą być wwożone do Rosyi; w końcu przemysł papierowy (papier, tektura, celluloza), w $^3/_4$ obliczony na wywóz do Rosyi, spotkał się w r. 1886 z cłem od 9 do 80 kop. od puda (zależnie od gatunku), a w r. 1897 cło to jeszcze zostało trochę zwiększone.

*) Tonna = około 61 pudów.

Teraz pytanie, jakże oddziałały te środki na rozwój przemysłu finlandzkiego? Ogólnie biorąc, nie widać, aby na nich wiele ucierpiał. Ilość większych przedsiębiorstw przemysłowych wzrosła z 5.615 w r. 1882 do 7.787 w r. 1898, ilość robotników z 43.085 na 91.055, wartość produkcyi z $113^1/_2$ do $283^1/_2$ milionów marek. Jeżeli się przypatrzymy każdej z wymienionych wyżej, a dotkniętych szykanami rządu rosyjskiego gałęzi poszczególnie, to także nie ujrzymy obrazu nędzy i rozpaczy. Jednak nie obyło się naturalnie bez szkód chwilowych, nieraz dość dotkliwych. Produkcya żelaza lanego, (która ma dla finlandczyków dość duże znaczenie, bo materyał surowy, zw. limonitem, wydobywają oni z dna jezior, gdzie osadza się on z wód podziemnych, po pierwszem ustanowieniu maximum wywozu w r. 1885 spadła dość nawet znacznie, ale już w r. 1889 powróciła do cyfry z r. 1884 i potem wzrastała z roku na rok, choć już nie mogła liczyć na zbyt do Rosyi; a w r. 1897 maximum podniesione zostało nagle do $1^1/_2$ milona pudów: widocznie zapotrzebowanie żelaza w Rosyi silniejsze było od politycznej dążności prześladowania przemysłu finlandzkiego. Nałożenie cła na żelazo w sztabach zmniejszyło na razie produkcyę o połowę; pomimo podniesienia jeszcze tego cła po upływie dziesięciolecia produkcya się potroiła — wskutek coraz większego użycia produktu w samej Finlandyi. Tak samo rzecz się miała z maszynami i fajansami: pomimo ograniczenia wywozu do Rosyi produkcya szybko wzrasta i ma jeszcze wielkie pole przed sobą, bo wielka ilość towaru wwozi się jeszcze z zagranicy i wwóz ten także wzrasta. Ogromne powiększenie cła na tkaniny lepsze na bardzo krótko tylko powstrzymało nieco sam ich wywóz do Rosyi i wywóz ten znów stale wzrasta; nie dosięgnął jeszcze oznaczonego maximum, a gdy dosięgnie, to wobec tego, że tkaniny te są bardzo poszukiwane, może się zdarzyć tak, jak z żelazem lanem: maximum będzie może odsunięte. Jeżeli nie, no to stanie się to, co z wyrobami przemysłu papierowego: po dotkliwem ocleniu ich w r. 1886 produkcya nie zatrzymała się jednak ani na chwilę a tylko zdobyła dla siebie i rozszerzyła rynek wewnętrzny, poszukała innych dróg wywozu (do Niemiec, do krajów Skandynawskich, — wogóle od pewnego czasu kraj troszczy się niezmiernie o rozwój żeglugi handlowej i uprzystępnienie portów w każdej porze roku), — a wreszcie i wywóz do Rosyi, który się był o 25% na razie zmniejszył, znowu się zwiększył, i to prawie trzykrotnie. Jedyną nienaprawioną dotychczas szkodę widzimy w przemyśle szklanym, należącym do ważnych, ale nie najważniejszych gałęzi ($7^1/_2$ tysiąca rb.). Wywóz do Rosyi spadł po nałożeniu cła na butelki o $^1/_4$; na wzroście produkcyi odbiło się to zresztą bardzo mało, a przytem — to datuje się dopiero od r. 1897, więc można śmiało na zasadzie analogii wnosić, że w dalszym ciągu i ta gałąź, jak inne, powróci do normalnego wzrostu.

Jakiż z tego wszystkiego wniosek? Oto przedewszytkiem, że nie potrzeba bynajmniej oderwania się od Rosyi na to, aby uledz prześladowaniom celnym z jej strony — możemy wogóle powiedzieć i prześladowaniom ekonomicznym, które wszak w różnych mogą się odbywać formach. Jeżeli tu wystarczyła poprostu chęć barbarzyńska powstrzymania kulturalnego rozwoju kraju. ośmielającego się mieć sejm i wolną prasę o kilka godzin drogi od stolicy carów, to prześladowanie mogłoby nastąpić tembardziej, gdyby do politycznego motywu — chęci powstrzymania rozwoju, który, wzmagając socyalizm w prowincyi pogranicznej, Królestwie Polskiem, musi być solą w oku każdemu rządowi rosyjskiemu, przyłączyło się poważne zagrożenie konkurencyą przemysłowi rosyjskiemu. Gdyby Finlandya posiadała coś w rodzaju naszej „Socyalnej Demokracyi“ i kogoś w rodzaju p. Luxemburg, niewątpliwie nie zabrakłoby jej rad, aby dla uratowania swego przemysłu zaniechała nietylko dążenia do niepodległości, ale nawet „inteligenckiego“, „burżuazyjnego“ upierania się przy

autonomii. Na szczęście finlandczycy postąpili inaczej. Zamiast wykorzeniać uczucie przywiązania do kraju i jego samodzielności, oparli się na niem i przyśpieszyli pracę nad oświatą i dobrobytem szerokich warstw ludowych, nad rozszerzeniem skali potrzeb ogółu. Było to równoznacznem z rozszerzeniem rynku wewnętrznego dla najrozmaitszych gałęzi przemysłu krajowego, bo w gospodarstwie publicznem wszystko jedno drugiego się trzyma. To był najważniejszy i najskuteczniejszy środek ich obrony. Prócz tego jednak zakrzątnęli się koło zdobycia innych rynków zbytu na miejsce rosyjskiego, co ułatwiło im porządny sposób wytwarzania. Wreszcie w tych gałęziach, gdzie wywóz do Rosyi odpowiadał rzeczywistym potrzebom rynku rosyjskiego, rząd rosyjski sam widział się zmuszonym cofnąć lub złagodzić wymyślone przez siebie szykany.

I jeszcze jeden wniosek pouczający: któż nie widzi, że gdyby Finlandya była państwem niepodległem, to ta cała obrona byłaby dla niej bez porównania łatwiejsza? Finlandya wwozi dziś z Rosyi zboże, buraki cukrowe, len, tkaniny tanie etc. w znacznych ilościach i na bardzo korzystnych dla Rosyi warunkach? Gdyby Finlandya była państwem niepodległem, to mogłaby na wojnę celną odpowiedzieć Rosyi takąż wojną, zamknąć dla jej wyrobów granicę, sprowadzać je skądinąd (zboże, len), albo u siebie wytwarzać (tkaniny tanie). Mogłaby, zamiast np. do Niemiec znajdować się w stosunku handlowym takim, jaki określi Rosya, a dla niej zupełnie nieodpowiednim, zawierać traktaty handlowe na własną rękę, a zawierając traktaty polityczne z sąsiedniemi i pokrewnemi państwami Skandynawskiemi, zdobyć sobie i jaki taki, odpowiedni do swego znaczenia głos w koncercie dyplomatycznym i w końcu skłonić i Rosyę do zmiany postępowania.

Wszystko to, tylko w daleko większym stopniu, na daleko większą skalę stosuje się i do Polski. Może się to komu wyda paradoksem, ale ja sądzę, po części na zasadzie doświadczenia Finlandyi, że właśnie, jeżeli Polska nie zdobędzie sobie niepodległości, to prędzej czy później czeka jej przemysł przymusowe uwstecznienie ze strony Rosyi, choćby w formie środków, prowadzących do przeniesienia przedsiębiorstw, kapitałów i robotników wraz z nimi z tej pogranicznej prowincyi, gdzie jaknajbardziej zależy na ciszy i spokoju, gdzieś w głąb państwa, gdzie niespokojny element utonie w obcem, chłopskiem morzu...

El. Es.

Z PRASY

Nikt chyba nie wątpi o tem, że mglistość i nieokreśloność postulatów programowych narodowej demokracyi jest najskuteczniejszą bronią w ręku jej przywódców, skoro chodzi o kaptowanie zwolenników. I szlagonowi, obdzierającemu ze skóry robotników rolnych i „patryotycznemu“ fabrykantowi, i księdzu, zarówno jak ubogiemu włościaninowi lub nieuświadomionemu klasowo robotnikowi bardzo łatwo można wytłómaczyć (byle na osobności), że program narodowodemokratyczny właśnie dobro przedstawicieli danej warstwy ma na celu. Stąd też nic nie wprawia w taką złość redakcyi „Przeglądu Wszechpolskiego“ jak konieczność wyraźnego wypowiedzenia się w sprawach programowych. Rzecz to całkiem zrozumiała, bo każde takie wyraźne wypowiedzenie się musi niechybnie pozbawić narodową demokracyę pewnej liczby zwolenników. Ponieważ zaś najczęściej zmuszają panów od „Przeglądu Wszech-

polskiego“ do wypowiedzenia się socyaliści, przeto na nich rzuca p. Popławski najstraszniejsze wyrazy potępienia. No, bo też i trudno ich nie potępiać. Przeklęci ci socyaliści

„.. w przekonaniu wielu ludzi, nie umiejących myśleć krytycznie i samodzielnie... nietylko dorównali w patryotyzmie narodowcom, ale ich prześcignęli, bo mówili w programie swym o niepodległej rzeczypospolitej polskiej, bo odświeżyli i zabarwili swoim temperamentem zapomniane i wyblakłe hasła rewolucyjne. Dziś jeszcze niektórym demokratom i patryotom starej daty, którzy nie brali udziału w ewolucyi duchowej, jaką przeszła inteligentna część społeczeństwa, więcej przypada do smaku patryotyzm socyalistyczny, niż nasz“.

Patryoci i demokraci „starej daty“ nie mogli nie zrozumieć, że partya, wystawiająca jasno, bez żadnych ogródek, całkiem otwarcie postulat niepodległej rzeczypospolitej demokratycznej i popychająca społeczeństwo wszelkimi sposobami po drodze do urzeczywistnienia tego postulatu, jest bardziej rewolucyjna i istotnie bardziej pożyteczna od tej, która twierdzi, że

„...program polityczny powinien być tylko ujęciem i sformułowaniem dążeń i interesów, już uświadomionych przynajmniej w inteligentnej warstwie społeczeństwie, i bezwiednie ale żywo odczuwanych w całej masie“ — jak pisze „Prz. Wsz.“.

Ma się rozumieć, że socyaliści nie omieszkali piętnować ten oportunizm, odsłaniając całe ubóstwo jego treści ideowej, co, naturalnie, w znacznej mierze przyczyniło się do tego, że narodowcy w końcu zmuszeni byli wypowiedzieć się nieco wyraźniej przynajmniej w sprawie niepodległości. Za to ogół narodowców powinien chyba być nam wdzięczny, bo dowiedział się (bodaj do pewnego stopnia), czego właściwie chcą przywódcy narodowej demokracyi. Ale próżno spodziewać się wdzięczności po „Przeglądzie Wszechpolskim“! Odwraca on kota ogonem i twierdzi, że nie „Prz. Wsz.“ musiał wypowiedzieć się ze względów konkurencyjnych nieco jaśniej w sprawie niepodległości, ale że to właśnie socyaliści „zaczęli... licytować się w patryotyzmie z ruchem demokratyczno-narodowym“.

Ale ci socyaliści tak są przewrotni, że znowu w swej niesumiennej walce „konkurencyjnej“ ciągną redakcyę „Przeglądu Wszechp.“ za język i zmuszają do powiedzenia, co ona myśli np. o rzeczy tak drażliwej dla szlagonów i fabrykantów „patryotycznych“ jak powstanie. „Prz. Wsz.“ pisze:

„Gdy stanowisko nasze w sprawie niepodległości stało się z biegiem czasu jasnem nawet dla ludzi, potrzebujących odpowiedniego frazesu, jako busoli politycznej, polska partya socyalistyczna straciła atut, którym się wciąż posługiwała. Musiała więc szukać nowego, musiała znów w licytacyi konkurencyjnej podwyższyć cenę swego patryotyzmu i swej rewolucyjności“.

Tym „atutem“ jest sprawa zbrojnego powstania, i biedny „Przegląd Wszechp.“, unikający, jak zarazy wszystkiego, co trąci konkurencyą, musi na gwałt szukać kogoś, coby mu napisał coś o powstaniu, oświadcza bowiem:

„Do sprawy tej wrócimy może wkrótce w szeregu poświęconych jej artykułów, dziś, nie przesądzając jej, tyle tylko zaznaczyć można i należy, że jeżeli niektóre warunki życia współczesnego ogromnie utrudniają zbrojny ruch ludowy, to natomiast inne znacznie mu sprzyjają“.

Jeśli tak dalej pójdzie, to za jakich lat kilkanaście ogół narodowców gotów, dzięki socyalistom, dowiedzieć się, co ich przywódcy myślą i o wyzysku robotników przez szlagonów i fabrykantów, i o obdzieraniu chłopów przez księży, i o wielu innych ciekawych rzeczach, „nieuświadomionych“ jeszcze w „inteligentnej warstwie społeczeństwa“, nota bene, jeśli do owego czasu jaka po wrotna fala ugodowa nie wykolei znowu całego obozu „narodowodemokraty znego“, jak to było w r. 1897.

* * *

Wypadki marcowe, a zwłaszcza zamachy na Bogolepowa i Pobiedonoscewa, znowu zwróciły w Rosyi uwagę na taktykę terorystyczną. Można się było tego spodziewać, zwłaszcza wobec faktu, że żadna z istniejących w obecnej chwili w Rosyi grup rewolucyjnych nie posiada ustalonego zdania co do środków, za pomocą których udałoby się obalić samodzierżawje. W Nr 3 „Iskry“ — nowego organu socyalnych demokratów rosyjskich, znajdujemy ciekawy artykuł tow. Wiery Zasulicz, dotyczący teroru. a wypowiadający szereg rozsądnych zdań w tej sprawie. Przytaczamy tu niektóre z nich:

„Od kilku już lat Rosya znowu weszła w okres ożywienia, nieporównanie silniejszego od tego, które zakończyło się 20 lat temu jednak i obecnie powodzenie tych usiłowań wolnościowych można uważać za zagwarantowane jedynie w tym wypadku, jeśli cała praca nie będzie zrzucona na barki wyłącznie najbardziej postępowych warstw klasy robotniczej i rewolucyjnej młodzieży, ale jeśli w tej pracy wezmą udział wszyscy nieprzyjaciele różnego rodzaju nahajki. Jednakże obok wieści, mówiących o wielkiem rozpowszechnieniu ruchu politycznego, spotykamy na każdym kroku wiadomości o tem, że wśród „publiczności“, wśród „spokojnych liberałów“, „zwykłych ludzi“ dają się słyszeć obecnie nadzieje, przepowiednie i życzenia, ażeby znowu rozpoczął się „teror“, który zakończył ruch rewolucyjny ósmego dziesięciolecia... Wzmocnienie takich nadziei miałoby, naszem zdaniem, tendencyę: zacieśniać, nie zaś rozszerzać pole walki... Jesteśmy głęboko przekonani, że w chwili obecnej... teror, gdyby w nim poczęły się ogniskować nadzieje społeczeństwa, nie tylko nie wzmocniłby, ale nawet osłabiłby ruch wolnościowy.. ze względu na swój wpływ psychiczny na otoczenie.

Tow. Zasulicz dowodzi, że despotyzm carski może być obalony jedynie wówczas, kiedy rozpoczną walkę z nim jaknajszersze warstwy ludności, teror zaś uprawiać mogą tylko jednostki.

Teror niewątpliwie wzruszył całe pragnące wolności społeczeństwo rosyjskie. ale było to wzruszenie bierne, nie popychające do działalności... Taki liberał mógł płakać z roztkliwienia wobec bohaterstwa terorystów, ale to nie powiększało jego pragnienia działalności i zdolności do ryzyka. Pomiędzy bohaterami a nim leżała przepaść... Cała czynność, cała energia ogniskowała się w garstce bohaterów, duch walki nie rozszerzał się w miarę jej zaostrzenia się, znajdował ujście w samem współczuciu, w wierze w „Komitet Wykonawczy“: ten oswobodzi. Wobec takiego kierunku energii społeczeństwa nie wytwarzała się siła, którаby mogła skorzystać z pewnego zamieszania psychicznego, spowodowanego w sferach rządowych przez teror...

* * *

W „Vorwarts“ie, który zamieścił objektywne sprawozdanie ze zjazdu P. P. S. zaboru pruskiego, spotykamy następującą korespondencyę, nadesłaną prawdopodobnie przez p. Wintera:

„Polskimi socyalistami narodowymi zajmowało się zebranie naszych wrocławskich przyjaciół przy licznym udziale towarzyszy, mówiących popolsku i porosyjsku (bundowców?). Wszyscy stanowczo oświadczyli się przeciwko uchwale, powziętej na ostatnim zjeździe polskiej partyi socyalistycznej, aby w dzielnicach polskich stawiać kandydatury poselskie do parlamentu jedynie z łona P. P. S., jakoteż przeciwko dziwnemu żądaniu, aby do dzielnic tych nie wysyłać agitatorów niemieckich.

Tow. Bruhns oświadczył, że socyalna demokracya nie może uważać za główny cel odbudowania rozszarpanego państwa polskiego. Przeciwnie, zadaniem jej jest pracować około podniesienia socyalnego położenia ludności robotniczej, bez względu na to, czy ludność ta mieszka w Galicyi, czy w Królestwie, czy gdziekolwiek. Wśród towarzyszy pol-

skich nurtuje silny prąd, hołdujący więcej ideom narodowym niż socyalistycznym. Do popierania tego prądu nie mamy żadnego powodu. Przeciwnie, idziemy nawet dalej i oświadczamy: Uważamy za rzecz pożądaną, aby polscy robotnicy nauczyli się języka niemieckiego. Tym sposobem łatwiej im przyjdzie walczyć z konkurencyą, łatwiej się przebiją przez świat i staną na wyższym stopniu kultury. Tylko sposób, w jaki polakom wzbrania się używania ich języka ojczystego, potępiamy jaknajsurowiej. Chcieliśmy zawsze mieć silną i wielką partyę socyalno-demokratyczną. Z tego powodu nie możemy ścierpieć, aby się wdzierały takie dążności separatystyczne. To i towarzysze w Alzacyi, mówiący po francusku, i w Szleswigu, mówiący po duńsku, mogliby także domagać się własnej partyi dla swego „narodu". Do czego miałoby to doprowadzić?

Zdanie to podzielali w zupełności następni mówcy, między nimi kilku polskich (Kasprzak i Wolny?) towarzyszy".

Panowie socyalhakatyści stają się już nudni, powtarzając wciąż jedne i te same głupstwa, które nas obchodzą tyleż, co śnieg przeszłoroczny. Skoro ruch nasz *na gruncie krajowym* stanie się siłą poważną, głosy socyalhakatystów będą musiały ucichnąć same przez się i w Niemczech zapanuje ten sam stosunek pomiędzy socyalistami polskimi a niemieckimi, co i w Austryi. Bruhns, wymieniając narodowości, które będą się niechybnie domagały samodzielnych organizacyi socyalistycznych, zapomniał o litwinach wschodnio-pruskich. A co do Alzacyi, to przy dzisiejszym centralizmie partyjnym sprawy socyalizmu tam nie tylko nie rozwijają się, ale nawet cofają się. Dość przypomnieć niedawną porażkę przy wyborach w Miluzie, świadczącą o wielkiem niezadowoleniu socyalistów miejscowych z berlińskiego kierownictwa partyjnego. Wniosek przekształcenia strasburskiego dziennika partyjnego na pismo, trzy razy w tygodniu wychodzące — wniosek, za którym była bardzo znaczna mniejszość uczestników ostatniej konferencyi alzacko-lotaryńskiej, też nie świadczy o zbyt świetnym rozwoju partyi na „kresach" zachodnich Niemiec.

* * *

Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na fakt, że demokratyczna (nie mówiąc już o stańczykowskiej) prasa zaboru pruskiego stoi na niesłychanie niskim poziomie inteligencyi. Czegoś tak naiwnego pod względem politycznym, jak artykuły „Orędownika", „Katolika" itd. napróżnobyśmy szukali gdzieindziej. Zwłaszcza komiczne jest to, co organy te wypisują o socyalistach. Oto np. wyjątki z ostatniego artykułu dra. Szymańskiego (znanego denuncyanta i carofila) z „Orędownika":

„... Dziś najgorętszymi, najradykalniejszymi patryotami polskimi — co do zewnętrznych objawów — są polscy żydzi i polscy socyaliści. Pod względem tego zewnętrznego patryotyzmu wyprzedzają oni wszystkie inne stronnictwa polskie. Żaden szczery polak nie może się z nimi mierzyć. Najwstrętniejszem widowiskiem, jakie może być wogóle dla politycznie myślącego polaka, jest, że sztandar idei niepodległej Polski niosą dziś przed narodem polskim ostentacyjnie — żydzi i socyaliści... W krakowskiej „Krytyce", która się przeniosła do Lwowa, znajdowały się artykuły pisane tak w duchu polskim i narodowym — często z podpisanem nazwiskiem — iż czytelnik był święcie przekonany, że wyszły z pod pióra polaka narodowca, a autor był zdeklarowanym socyalistą! Przy tych nazwiskach, prawdziwych i przybranych, trzeba się było wogóle informować: czem autorzy są ... Tylko ludzie, wczytani cokolwiek w tę literaturę mogli się oryentować jako tako i odróżniać w tych artykułach ziarno szczerze polskie od ziarna socyalistycznego ..."

W tym sensie przemawia dr. Szymański w długim artykule — w dwóch NN. swego pisma, komunikując swym ciemnym czytelnikom, że socyaliści zaboru

pruskiego „za pomocą „Kuryera Lwowskiego“ i „Słowa Polskiego“ (!!) dają znać tutaj, że ludowcy mogliby razem z nimi pracować“ I pomyśleć tu, że taka głupia, nie mająca o niczem pojęcia, osobistość kieruje całym ruchem ludowym w Poznańskiem! Ta ciemnota inteligencyi poznańskiej jest daleko niebezpieczniejsza dla żywiołu polskiego w zaborze pruskim od wszelkich hakatyzmów.

Z KRAJU I O KRAJU

Białystok, w czerwcu

Dzień pierwszego maja minął u nas zupełnie spokojnie, wszystkie prawie fabryki robiły w ten dzień, parę tylko fabryczek po 9—10 warsztatów stało. Wieczorem odbyło się kilka zebrań poufnych z niewielką liczbą uczestników. Kwestya manifestacyi w niedzielę lub sobotę przed 1-ym maja była poruszana na posiedzeniu Komitetu robotniczego P. P. S., który przyszedł do przekonania, że manifestacya się nie uda.

Od 25 kwietnia do 28 maja w Białymstoku był stan oblężenia. Na odwachu koło kościoła stała rota żołnierzy, z których część wraz z policyantami chodziła po ulicach, na krańcach miasta i po przedmieściach i wypatrywała buntujących się robotników. Dwa bataliony piechoty stały pod bronią w koszarach włodzimierskiego i kazańskiego pułków, gotowe wystąpić na pierwsze wezwanie telefonem przez policmajstra. Szwadron kawaleryi stał w koszarach, połowa drugiego stała na dziedzińcu u policmajstra, a druga połowa wraz z urjadnikami jeździła po okolicznych lasach czwórkami albo szóstkami, t j. 3-ch żołnierzy i urjadnik, albo 5 iu żołnierzy i urjadnik. Nie było najmniejszego lasku w obrębie 15—20 wiorst od Białegostoku, gdzieby ci panowie nie zaglądali. Korzystając z takiego stanu rzeczy, urjadnicy i żołdacy napadali na spokojnych podróżnych, wymagali okupu, katowali i, w razie oporu, zbitych i związanych przywozili do Białegostoku, gdzie trzymano po kilka dni o głodzie; jedna kobieta padła ofiarą wyuzdanych żołdaków. W mieście zaś zrożył się Metlenko — policmajster. Sam nie spał i nie pozwalał spać swym podwładnym; często zdarzało się, że w nocy o 12-ej, 11 ej zatrzymywał spokojnego przechodnia i wymagał legitymacyi; jeżeli ten nie mógł się wylegitymować, kazał odprowadzać go do aresztu, gdzie biedak musiał spędzać noc. Areszt policyjny był przepełniony tymi *„przestępcami“*. Na policyi bito bez ceremonii aresztowanych.

Mimo tak ścisłego śledzenia, masy wojska, policyi, żandarmów, przed 1-ym maja rozrzuciliśmy Nr 2 „Białostoczanina“ i żydowską majową odezwę, „Bund“ zaś rozrzucił swoją żydowską i polską, napisaną ohydnym językiem z masą błędów. Przed 1-ym maja z soboty na niedzielę i z poniedziałku na wtorek aresztowano kilku robotników, z których dwóch tylko siedzi w Grodnie, resztę wypuszczono. Tych dwóch policya przy aresztowaniu zbiła okrutnie.

Nareszcie minął 1-y maja; zdaje się, czas było usunąć wojsko z miasta i okolic, żeby nie straszyć spokojnych obywateli. Lecz carscy czynownicy nie mogą zrozumieć, że my, socyaliści, żyjemy życiem europejskiem, że nie uznajemy dat moskiewskich, a więc poszli po rozum do głowy i zdecydowali, że przygotowujemy *coś* strasznego na 1-y moskiewski. Skorzystali z tego rozmaici rzezimieszkowie i rozrzucili po mieście kartki, że pierwszego moskiewskiego maja bę-

dzie Białystok zapalony z 8 stron, że wysadzą w powietrze pocztę, kaznaczejstwo, bank państwa i rządowy skład spirytusu. Panika opanowała mieszkańców miasta naszego i policyę. Już z 13 na 14 maja w nocy wojsko stało na dziedzińcach tych instytucyi, zrobiono ścisłą rewizyę w piwnicach, rozumie się, że nic nie znaleziono. Trzebaż było zbiegu okoliczności, że 14 maja wszczął się ogromny pożar na ulicy Suraskiej, nie zdążono ugasić tego, zapaliło się na ulicy Pocztowej. „Socyaliści palą miasto“ było na ustach u wszystkich, kobiety mdlały, mężczyźni chodzili jak struci. Plotkę tę rozpuszczała policya i żandarmerya, chcąc zohydzić nas w oczach masy spokojnych ludzi. Szczerze wierzono temu, wierzyli tej plotce nawet tacy, którzy mówili, że znajomi są z zasadami socyalizmu, twierdzili oni, że właśnie zgodne to z zasadami tych „burzycieli porządku publicznego“, patryoci nasi zacierali ręce i mówili każdemu, kogo spotykali: „a widzicie, nie mówiliśmy wam, co to za ludzie ci socyaliści?!““. Dzień 15 maja minął spokojnie, o 7-ej rano 16-go wszczął się pożar na ulicy Niemieckiej, w kilka godzin potem na Nowem, wszyscy oczekiwali zupełnego spalenia miasta, w domach drewnianych stały rzeczy złożone w ciągu kilku dni. Policmajster energicznie rządził w czasie pożarów, to jest krzyczał, wymyślał i bił; wszyscy wdzięczni mu byli za jego energię i ogłosili go zbawcą miasta, z czego, podobno, jest zadowolony. Wymyślano, odgrażano się socyalistom, nastrój ogółu był taki, że gdyby powiedziano, że socyaliści mordują niemowlęta na ulicach i zabijają ciężarne kobiety, uwierzonoby. A patryoci nasi wtedy mówiliby: „a widzicie, nie mowiliśmy wam, że socyaliści mogą to zrobić?!“.

Ogół robotników jednak nie wierzył temu i śmiał się z tych baśni. Dawali wiarę tym pogłoskom drobni rzemieślnicy i łyki białostockie, których nigdy prawdopodobnie nie zaliczymy do swoich szeregów.

D. 28 maja nareszcie żołnierze wrócili do koszar i miasto przybrało zwykły swój wygląd. Na przyjeżdżającego bowiem Białystok w ciągu ubiegłego miesiąca robił wrażenie miasta w stanie oblężenia. Gdyby zawitał wtedy do nas cudzoziemiec, byłby pewien, że jesteśmy w przededniu rewolucyi.

Na zakończenie dzisiejszej korespondencyi muszę powiedzieć słów parę o kwestyi, poruszonej przez przygodnego waszego korespondenta z Białegostoku w Nrze 11 r. z.

O zatargu między zarządem dóbr Dojlidzkich, hr. Rüdigiera a włościanami wsi okolicznych, które mają prawo serwitutów, nic pisałem, ponieważ nie miałem dokładnych wiadomości. Dzisiaj już to rzecz nie nowa, więc tylko sprostuję kilka danych, podanych przez korespondenta.

Od kilku lat (6-ciu) trwał zatarg między włościanami a zarządami dóbr w Dojlidach, Zabłudowie i Rafałówce. Rzecz poszła o wypas w lesie. Dopóki nie było prawa o ochronie leśnej, włościanie wsi okolicznych pasali bydło w lasach rüdigierowskich, co, rozumie się, nie podobało się i nie było na rękę zarządom tych dóbr. Kiedy wydano to prawo, zarządy skorzystały skwapliwie z tego i zaczęły zasiewać część wyrębów, tam już bowiem nie można było paść w ciągu 15—20 lat; oprócz tego nie wolno było paść bydła przez 15 lat w świeżo wyrąbanych miejscach. Zaczęło się wprost prowokowanie włościan. Odznaczał się tem zarządzający dobrami Dojlidzkiemi p. Gierhardt Aloizy i nadleśny p. Głuchowski. Starali się rąbać koło samych wsi i zasiewać tamże w pobliżu ich, żeby włościanie nie mieli przystępu do tych lasów. Miejsce, gdzie mogli paść chłopi, leżało o półtora wiorsty ode wsi, musieli jednak pędzić bydło do lasu 10—15 wiorst, gdyż bliższą drogą nie mogli tego robić, bo była zasiana lasem. Chłopi, rozumie się, nie zważali na to i pędzili przez świeże poręby i zagajniki bydło; stąd swary i procesy. Sprawa ciągnęła się kilka lat, tymczasem dwory zabłudowski, dojlidzki i rafałowicki nie dawały zupełnie zarobku chłopom wsi okolicznych, przy sprzedaży lasu stawiały za warunek, żeby kupujący nie brał

ani do wywożenia drzewa, ani do rąbania ludzi ze wsi okolicznych. Dodajmy, że to stanowi jedyny prawie zarobek chłopa z tych wsi. Niechęć i rozgoryczenie było ogromne. Nareszcie chłopi przegrali w senacie i dla ściągnięcia kosztów sądowych musiano użyć siły wojskowej trzech pułków piechoty: włodzimierskiego, kazańskiego i suzdalskiego 27 czerwca star. stylu roku zeszłego. Dzielnie rozpoczęli żołnierze Mikołajka 3-ci wiek istnienia pułków. Aresztowano sporo chłopów, których wypuszczono po kilku miesiącach.

W maju roku przeszłego było zajście między p. Głuchowskim a chłopami wsi Koropule: zajście to skończyło się nader smutnie dla chłopów, z których 4-ech osądzono na 3 lata rot aresztanckich. Sądziła izba sądowa wileńska w Brześciu. Dodać musimy, że adwokat, który prowadził sprawę chłopów, został skazany na dwa lata pozbawienia praktyki adwokackiej i miał być wysłany z Białegostoku, został jednak, dzięki staraniom w Petersburgu. Sędzia pokoju, książe Trubieckoj, który wydał wyrok przychylny dla chłopów, został wydalony ze służby, a sędzia śledczy Morozowskij, który prowadził sprawę chłopów karapulskich i po ludzku brał rzecz, „za łagodny był“ dla nich, poderznął sobie gardło w styczniu roku bieżącego.

I. Dem.

* * *

Warszawa, w czerwcu.

Do nieustającego wciąż jeszcze kryzysu, trapiącego nasz przemysł, przyłącza się widmo nieurodzaju, który zagraża głodem w pierwszej linii masom ludności wiejskiej, a pośrednio — jeszcze większem obniżeniem zarobków po miastach. Zgłodniała ludność włościańska napłynie do ośrodków przemysłu i pogorszy byt ludności robotniczej — i tak już nie wesoły. O klęsce, zagrażającej masom ludowym, mało pisze nasza prasa warszawska, która zajęta jest wyłącznie interesami właścicieli wielkich posiadłości ziemskich i obmyśla sposoby, za pomocą których udałoby się pomódz bankrutującej szlagoneryi.

Najodpowiedniejszy sposób poprawienia interesów, to niewątpliwie trzymanie się klamki rządowej. Korzysta więc arestokracya nasza z przybycia nowego jenerałgubernatora, ażeby mu się przypodobać i zaskarbić sobie jego łaski. W tym celu szumowiny naszego społeczeństwa urządziły w warszawskim klubie myśliwskim bankiet na cześć Czertkowa. W bankiecie wzięło udział ośmdziesiąt kilka osób. Toastowano na cześć cara i Czertkowa. Panowie Czetwertyńscy, Radziwiłłowie i t. p. zbieranina uroczyście bratała się z przedstawicielami psiarni carskiej.

Zachodzi jednak obawa, czy to upadlanie się magnateryi polskiej przyda się jej na co, bo Czertkow jest podobno poważnie chory i ludzie, znający bliżej stan jego zdrowia, rokują mu w niedalekiej przyszłości podróż na łono Abrahamowe. Osierocone przezeń stanowisko satrapy Królestwa objąłby Puzyrewski.

Zanim Czertkow przeniesie się do wieczności, podobno ma poobsadzać różne wysokie stanowiska w administracyi nowemi osobami. Podobno Jaczewski, sekretarz nieboszczyka bohatera z pod Sans Souci, ma zostać pomocnikiem naczelnika kancelaryi jenerałgubernatora, a obecny gubernator jarosławski — Stummer — pomocnikiem cywilnym jenerałgubernatora. Zresztą są to tylko pogłoski. Ostatecznie jak nas gnieciono przy Imeretyńskim, tak samo będą gnietli i przy Czertkowie lub Puzyrewskim — bez względu na osoby, pełniące różne funkcye przy gubernatorze.

Oto np. ohydna ilustracya rządów moskiewskich. W Łodzi aresztowano pewnego robotnika-żyda, u którego podczas rewizyi znaleziono trochę bibuły. Osadzono go w areszcie i nie dawano mu jeść przez dłuższy czas. Kiedy upo-

mniał się o pokarm, poczęto kpić z niego. Aresztowany nie chciał tego znosić i nawymyślał komisarzowi Iwanowowi. Ten ostatni sprowadził policyantów, którzy tak długo pastwili się nad nieszczęśliwą ofiarą przemocy carskiej, aż skonała pod razami. W obawie skandalu, ogłosili zamordowanego za samobójcę i pochowali w tajemnicy. W mieście straszne oburzenie. Nasz łódzki Komitet Robotniczy wydał z tego powodu energiczną odezwę.

Mieliśmy w Warszawie znowu aresztowania wśród inteligencyi. Wzięto adwokata Strzembosza, malarza Niewiadomskiego, Gudowskiego, Zawadzkiego, urzędnika Tow. Kredytowego Łazarewicza, studenta Zielińskiego i parę innych osób. Chodzi podobno o jakąś niezatwierdzoną przez władze czysto kulturalną instytucyę.

Towarzysze, aresztowani podczas manifestacyi majowej, otrzymali już wyrok administracyjny. 11 robotników warszawskich skazano na 3 miesiące więzienia, a dwóch robotników z Marek, „nieumiejących objaśnić powodów swojego pobytu w Alejach Ujazdowskich“, skazano na miesiąc aresztu, przyczem zaliczono im czas, spędzony w więzieniu przed wyrokiem.

Pan Spasowicz srodze się rozgniewał na społeczeństwo polskie z powodu sponiewierania jego prawej ręki — Piltza i zemścił się w niezwykle szlachetny sposób. Mianowicie zawiesił wydawnictwo „Ateneum“, przyczem zniszczył koncesyę, przez co uniemożliwił prowadzenie pisma przez kogoś innego. Luźne stosunki, które łączyły tego adwokata petersburskiego ze społeczeństwem polskiem, rozluźniły się teraz jeszcze bardziej. Może mu to ostatecznie pozwoli zdecydować się na należenie do jednej, określonej narodowości, bo — jak się zwierzał podczas pewnego bankietu — dotychczas nie miał pewności, czy jest bardziej polakiem, czy też rosyaninem.

Y.

* * *

Zdrada stojałowczyków.

Z chwilą, kiedy w parlamencie austryackim obok „Koła“ stańczykowskiego uformowały się dwa kluby niezależnych posłów chłopskich — z chwilą tą rozpoczęły się konszachty zakulisowe w celu wciągnięcia posłów chłopskich do reprezentacyi szlacheckiej. Od czasu do czasu w pismach galicyjskich pojawiały się wzmianki o zamierzonem wstąpieniu stojałowczyków i ludowców do „Koła“, ale zawsze kończyło się to na niczem. W końcu jednak szlachcie udało się przeciągnąć na swoją stronę część posłów chłopskich — mianowicie stojałowczyków. Stojałowski popełnił jeszcze jedną zdradę — nie pierwszą, a zapewne i nie ostatnią, i zaprzedał swych posłów w niewolę stańczykowską. Posłowie Szajer, Bomba Wilk i Fijak zostali członkami „Koła“, jeden tylko Kubik zerwał ostatecznie ze Stojałowskim i przyłączył się do ludowców. Co do ludowców, to ci zachowują się odpornie względem przyłączenia się do „Koła“, choć podobno jeden z ich posłów — mianowicie Bojko — nie ukrywa swej chęci wstąpienia do „Koła“. Poseł Bojko jest człowiekiem bezwzględnie uczciwym i, gdyby wstąpił do „Koła“, był by to jedynie dowód na to, że jest politycznie niepoczytalny. Swoją drogą wstąpienie ludowców do „Koła“ byłoby najdotkliwszym ciosem dla sprawy ludowej w Galicyi. O postępku posłów stojałowczyków tego powiedzieć niepodobna, gdyż są to ludzie bardzo marni pod względem moralnym.

Jak się zapatrują szersze warstwy ludowe na zdradę stojałowczyków, na razie nie podobna jeszcze stwierdzić, ale już obecnie można przypuszczać, że bardziej świadomi chłopi-stojałowczycy ją potępią. Dowodem na to fakt następujący. W niedzielę dnia 9-go czerwca Stojałowski zwołał zgromadzenie w Milówce, w siedzibie najbardziej zagorzałych swych zwolenników. Chciał on widocznie przeforsować w gronie swych „zaufanych“ rezolucyę, pochwalającą wstąpienie do „Koła“, by wywołać wrażenie, że chłopi godzą się na zdradę.

Nie udało mu się to jednak. Po mowie, w której usiłował przekonać zebranych stojałowczyków, że sprzedał swych czterech posłów „dla dobra ludu“, nie odezwał się ani jeden oklask, ani jeden okrzyk zgody. Chłopi byli skonsternowani i zachowywali głuche milczenie... Wówczas zabrał głos obecny na zebraniu tow. nasz Packan, który ostro uderzył na zdradę, popełnioną przez Stojałowskiego, co chłopi przyięli nader życzliwie. Poseł Fijak próbował bronić Stojałowskiego i siebie, ale chłopów nie przekonał. Ci nie chcieli już nawet słuchać Stojałowskiego i wynieśli się z sali.

Ks. Stojałowski ma podobno otrzymać za swą zdradę tłuste probostwo.

* * *

Kongres P. P. S. zaboru austryackiego

Dn. 29 i 30 czerwca odbędzie się we Lwowie VII kongres krajowy Polskiej Partyi Socyalnodemokratycznej Galicyi i Śląska austryackiego z następującym porządkiem dziennym: 1. Sprawozdanie komitetu wykonawczego. 2. Sytuacya polityczna i ekonomiczna. 3. Organizacya, agitacya i podatek partyjny. 4. Prasa i wydawnictwa partyjne. 5. Wybory Sejmowe. 6 Wybór komitetu wykonawczego. 7. Wnioski.

* * *

Zdemaskowany szpicel.

Przed paroma miesiącami otrzymaliśmy z Berlina dwa listy niejakiego Ernesta Kallmana, wrzekomo studenta politechniki, pisane kiepską francuszczyzną. W listach tych Kallman w dość natarczywy sposób domagał się adresów secesyonistów, ażeby przestrzedz przed tak „niebezpiecznymi“ ludźmi towarzyszy. Autor listu podawał się za socyalistę i na dowód przytaczał fakt, że już dawniej sprowadzał wydawnictwa partyjne. Nie wątpiąc, że mamy do czynienia ze szpiclem — i to w dodatku bardzo niemądrym, uprosiliśmy naszych przyjaciół w Berlinie o zasięgnięcie bliższych wiadomości o tym ptaszku. Pokazało się, że Kallman mieszka u agenta policyjnego Cortha, od dwóch lat już nie był immatrykułowany na politechnice i, pomimo że jest rosyjskim poddanym, nie był meldowany w policyi ani w Berlinie, ani w Charlottenburgu. W celu ostatecznego stwierdzenia faktu, że Kallman jest szpiclem, urządzono mu następującą sztuczkę. Zaproszono Kallmana na posiedzenie w pewnej restauracyi. Dwóch naszych towarzyszów ulokowało się tak, że mogli obserwować tę restauracyę. Na długi czas przed oznaczoną porą zjawił się Corth i śledził uważnie nietylko kto wchodził i wychodził z restauracyi, lecz także bramy sąsiednich domów. O oznaczonej porze przyszli jeszcze dwaj ajenci policyjni, weszli do lokalu i przedstawili się gospodarzowi jako restauratorzy. Gdy jednak żaden polak się nie zjawił, wyszli po pewnym czasie i naradzali się z Corthem, poczem wszyscy trzej powrócili do restauracyi, gdzie do godziny $9^3/_4$ napróżno czekali na polskich socyalistów. Dopiero gdy nasi dwaj towarzysze, śmiejąc się głośno, przeszli koło restauracyi, szpicle opuścili ją. Przedtem jednak jeden niemiecki towarzysz, wysłany specyalnie w tej sprawie, aby siedział w restauracyi i obserwował szpiclów, zapytał gospodarza o ulicę Bergstrasse. Natychmiast szpicle pobiegli na tę ulicę, a za nimi nasi dwaj towarzysze i znowu przyszło do wesołego spotkania. Nasi towarzysze w Berlinie powinni wystrzegać się tego szpicla. Adres jego: Berlin N. Swinemünder Str. 81.

* * *

Zebrania w zaborze pruskim.

Ponieważ w zaborze pruskim socyalistom bardzo trudno o sale do urządzenia zebrań, przeto zmuszeni są występować na zgromadzeniach, zwoływanych przez partye burżuazyjne. W ostatnich czasach towarzysze nasi skorzystali

z paru nadarzających się okoliczności i przemawiali publicznie na Śląsku i w Poznaniu. Na Śląsku niemiecka partya wolnomyślna urządziła trzy zebrania pod hasłem „precz z lichwą zbożową!“ Pierwsze odbyło się w Bytomiu, drugie w Katowicach, trzecie w Zabrzu. Na dwóch pierwszych przemawiał (po polsku) tow. Jerzy Haase, na ostatniem nie pozwolono mu przemawiać po polsku, więc opuścił zebranie, mówiąc, że przyszedł tu, aby brać udział w proteście przeciwko cłom zbożowym, a protestuje z oburzeniem przeciw demokracyi niemiecko-patryotycznej, przez przewodniczącego rozpoczętej. W Poznaniu przemawiał tow. Karwik na wiecu, zwołanym w sprawie pijaństwa i karciarstwa. Powoli i w zaborze pruskim wywalczymy sobie w ten sposób prawo głosu.

* * *

Inspektorat fabryczny na usługach policyi.

Wiedzieliśmy dotychczas, że rosyjscy inspektorowie fabryczni pełnią bardzo często funkcye policyjno szpiclowskie. Pokazuje się, że coś podobnego jest i w Prusach — przynajmniej w stosunku do polaków-socyalistów. Zaledwie rozeszła się wiadomość, że „Gazeta Robotnicza“ przenosi się na Górny Śląsk, inspektor fabryczny w Katowicach zjawił się w drukarni, która podjęła się drukowania „Gazety“ i począł się troskliwie wypytywać jej właściciela o to . . . czy ma dosyć miejsca, ażeby umieścić zecera, który ma składać „Gazetę“. Co za niesłychana troskliwość o zdrowie zecera! Właściciel drukarni uspokoił troskliwego urzędnika — i ten poszedł sobie jak zmyty. „Gazeta Rob.“ może się spodziewać całego szeregu szykan ze strony policyi pruskiej, ale — strachy na Lachy! . .

Bibliografia

M. Dragomanow. Perepyska. Zibraw i zładyw M. Pawłyk. T. I. U Lwowi 1901. Nakładom Ukraińsko-Ruśkoji Wydawnyczoji Spiłky. 8-o str. 4 184

Zmarły kilka lat temu uczony i działacz ukraiński — prof. Michał Dragomanow — pozostawił po sobie niezwykle obfitą korespondencyę. Drobną jej cząstkę ogłosił obecnie uczeń i zwolennik zmarłego — p. M. Pawlik, zaopatrując listy Dragomanowa i jego korespondentów w obszerne komentarze. Ogłoszone w tomie I „Korespondencyi“ listy zawierają mnóstwo ciekawych przyczynków do charakterystyki rozwoju kulturalno-politycznego Rusi galicyjskiej, a oprócz tego garść szczegółów, mogących i nas, polaków, zainteresować. Mianowicie na czele tego tomu „Korespondencyi“ znajdujemy listy, rzucające pewne światło na bardzo mało dotychczas znaną sprawę konszachtów naszej demokracyi z rządem austryackim w końcu dziewiątego dziesięciolecia ubiegłego wieku.

Do Genewy, gdzie przebywał wówczas Dragomanow, zjawił się w lipcu 1888 r. delegat demokratów polskich ze Lwowa w celu zawarcia z Dragomanowym, jako z przedstawicielem Rusi, ugody polsko-rusińskiej na wypadek spodziewanej wówczas wojny Austryi z Rosyą. Polacy — według słów owego delegata — stanęliby po stronie Austryi, gdyby ta otwarcie wypowiedziała się za Polską. Oto warunki demokratów: 1) jawna odezwa cesarza austryackiego do Polski, 2) sformowanie z rezerwów galicyjskich armii polskiej i 3) obietnica,

że lewy brzeg Wisły nie dostanie się niemcom. Dragomanow odpowiedział na propozycyę demokratów lwowskich, że nie ma prawa mowić w imieniu rusinów galicyjskich, których ta sprawa najbliżej obchodzi, że nie może wskazać w Rosyi na legiony itp. i że nie wierzy w możliwość oderwania się od Rosyi całej Ukrainy aż do Stawropolszczyzny, przeto wyniki wojny ze strony terytoryalnej są dla niego prawie obojętne. Natomiast Dragomanow uznawał za konieczne wypracowanie stałej ugody rusinów z polską demokracyą i w tym celu polecił owemu delegatowi dra T. Okuniewskiego (obecnego posła) i kółko jego przyjaciół, przyszłych założycieli rusko-ukraińskiej partyi radykalnej. Jednocześnie Dragomanow wręczył delegatowi swój program „Wilna Spiłka“ — “Wolny Sojusz“ — projekt przekształcenia Rosyi na związek autonomicznych terytoryów etnograficznych, polecając ten program uwadze demokratów polskich.

W następstwie zaznajomienia się delegata z Dragomanowem wywiązała się pomiędzy nimi korespondencya w sprawie stosunków polsko-rusińskich. W pierwszym liście do Dragomanowa delegat pisze: „Program Pański, wypowiedziany tak w broszurze „Wolnyj Sojuz“, jak skreślony przez Szan. Pana przy ostatniem naszem widzeniu się, był przedmiotem obszernych i nader poważnych dyskusyi w gronie naszych przyjaciół politycznych.... wynik rozpraw był następujący: Przedewszystkiem z całą szczerością musimy oświadczyć, że zastrzegamy się przeciw słowom Pańskim, tyczącym się przyszłości Polski. Tysiącletnia przeszłość nasza daje nam prawo, a zarazem nakłada obowiązek dążenia do niepodległości. Mamy to przekonanie, że ścisłe tylko współdziałanie polaków i rusinów na zasadzie „wolni z wolnymi, równi z równymi“ może oprzeć się tak nawale germanizmu, jak i rosyjskiego panslawizmu. Nie zgadzamy się więc na ostateczny cel Pańskiego programu, dla nas bowiem Rosya federacyjna nie jest ideałem naszych usiłowań politycznych. Natomiast chętnie przyznajemy, że taki ustrój państwa rosyjskiego zapewniłby polakom cały szereg nader ważnych korzyści i wielce ułatwiłby nam spełnienie naszych pragnień najgorętszych. Tak więc, jakkolwiek różnimy się z Panem co do celów ostatecznych, to jednak jesteśmy najmocniej przekonani, że w pracach dzisiejszych a zapewne i w najbliższej przyszłości podejmowanych mogą polacy i rusini pojść razem, wspierać się nawzajem i ułatwiać sobie walkę ze wspólnymi nieprzyjaciółmi. Łączność ta będzie tem trwalszą i silniejszą, iż najzupełniej zgadzamy się ze zdaniem Pańskiem, że wszelkie reformy i urządzenia należy oprzeć z jednej strony na podstawie samorządu, z drugiej zaś strony na jaknajszerszych zasadach demokratycznych“. Co do „Wilnej Spiłki“, to delegat stwierdza, że stosunki w Rosyi bynajmniej się nie układają w ten sposób, ażeby program Dragomanowa miał jakieś znaczenie aktualne i nalega na Dragomanowa, ażeby ten podjął się pośrednictwa w nawiązaniu rokowań z partyą ukraińską, przypuszczając, że te „niewątpliwie doprowadziłyby do pożądanego porozumienia, jeżeli nie we wszystkich sprawach galicyjskich, to przynajmniej w kwestyi przyszłych reform wewnętrznych w Rosyi i agitacyi w tym celu podejmowanych“.

To, co odpowiada Dragomanow, nie jest ciekawe. Ciekawszem jest dla nas pytanie, jaki obrót wzięły próby porozumiewania się demokratów polskich z ukraińcami. Odpowiedzi na to pytanie napróżnobyśmy szukali w korespondencyi Dragomanowa z przedstawicielem demokracyi, ponieważ ich stosunki wzajemne urwały się w końcu r. 1889-go, a sprawa tak doniosła, jak wytworzenie modi vivendi pomiędzy demokracyą polską a ukraińską, wymknęła się całkowicie z rąk demokratów. Powtórzyło się jeszcze raz to samo, co w ciągu całego naszego życia porozbiorowego było przekleństwem demokracyi. Zapoczątkowawszy coś, nigdy sama nie potrafiła doprowadzić sprawy do końca i pozwalała skorzystać z owoców swej działalności reakcyi. Sprawą pertraktacyi

z rusinami w Galicyi i na Ukrainie zajęły się czynniki, nic wspólnego z demokracyą nie mające: hr. Badeni i arcybiskup Sembratowicz z jednej strony, a z drugiej strony paru magnatów ukraińskich i najkonserwatywniejsi ukrainofile kijowscy. Nic więc dziwnego, że wynikiem tych usiłowań, rozpoczętych przez demokratów w celu wyzyskania rządu austryackiego na rzecz oderwania Polski i Ukrainy od Rosyi, była osławiona „ugoda polskorusińska“ 1890 roku o cechach najwstrętniejszego lojalizmu czarnożółtego, klerykalizmu i reakcyi społecznej. Niektórzy demokraci nawet nie poznali się na tem, że ta „ugoda“ jest zupełnie czemś innem, aniżeli to, do czego oni dążyli, i dość długo cieszyli się z jej zawiązania....

Szkoda, że cała ta sprawa nie nadaje się jeszcze do ogłoszenia ze wszystkiemi szczegółami — zbyt jest świeża i mogłaby dużo osób skompromitować. Z tegoż samego względu najciekawsze dla nas listy Dragomanowa, potrącające o takie sprawy, jak stosunek Ukrainy do Polski, Polski do Rosyi, jak rola rewolucyonistów polskich wobec prądów opozycyjnych Rosyi itd. długo jeszcze będą musiały czekać chwili, kiedy można je będzie ogłosić.

O

* * *

Odpowiedź Synodowi L. M. Tołstoja. N. 22. Wydawnictw ulotnych „Wolnego Słowa“. 1901.

Drobna ta broszurka ciekawa jest z tego względu, że oświetla w całkiem inny sposób stosunek społeczeństwa rosyjskiego do faktu ekskomunikacyi wielkiego pisarza aniżeli prasa europejska. Pisma zachodnioeuropejskie były przepełnione korespondencyami, dowodzącemi, że cały naród rosyjski — o „towarzystwa“ aż do mas ludowych — zawrzał jednozgodnem oburzeniem z powodu klątwy, rzuconej przez biskupów prawosławnych na Tołstoja. Pisano jedynie o owacyach, jakie spotykały Tołstoja na ulicach Moskwy, o telegramach z wyrazami współczucia dla niego od przedstawicieli różnych sfer, ale o tem, by się znalazły w Rosyi żywioły, pochwalające wystąpienie biskupów, nie słyszeliśmy wcale. Tymczasem Tołstoj w broszurze niniejszej pisze, że otrzymuje z powodu ekskomunikacyi listy, grożące mu poprostu śmiercią. „Teraz jesteś wyklęty i pójdziesz po śmierci na męki wieczne i zdechniesz jak pies... anatemo, dyable stary... bądź przeklęty“ — pisze jeden. Drugi czyni rządowi wyrzuty z powodu, że Tołstoja nie zamknięto jeszcze w klasztorze i zapełnia list obelgami pod adresem Tołstoja. Trzeci pisze: „jeśli rząd ciebie nie uprzątnie, sami zmusimy ciebie do milczenia“, list ten kończy się przekleństwami. Czwarty: „Znajdziemy już środki, ażeby ciebie, łajdaka, zniszczyć“. Tołstoj twierdzi: „oznaki takiegoż rozgoryczenia spostrzegam po ogłoszeniu postanowienia synodu przy spotkaniu z pewnymi ludźmi. W sam dzień 25 lutego, kiedy ogłoszono to postanowienie, słyszałem, przechodząc placem, wyrazy: „oto dyabeł w ludzkiej postaci“ i gdyby skład tłumu był inny, bardzo być może, żeby mię zbito, jak zbito kilka lat temu jakiegoś człowieka около kaplicy Pantelejmona“.